Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 6 czerwca 1937 r. Nr. 23



PIERWSZY UŚMIECH LATA...

Idę zieloną łąką i polem sinym,
Idę i w sercu swym radość niosę,
Że oto nowe wyrosły kłosy
I srebrną pieśnią szumią w dolinie...

Dziś nie ma we mnie już nic z tęsknoty,
Już nie żałuję złudnych chwil więcej,
Tylko garść kłosów biorę w swe ręce
I witam lato w uśmiechu złotym.

Skądś płynie ku mnie melodia jasna
I drży nadzieją w mej młodej duszy,
Że teraz szczęścia już nic nie zgłuszy,
Że odtąd będzie już zawsze własne...

Idę zieloną łąką i polem sinym,
Idę i w sercu swym radość niosę,
Że oto nowe wyrosły kłosy
I srebrną pieśnią szumią w dolinie...

Maria Zemmlerówna.

WOJCIECH HOLM

34)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Urządzał on się tak zręcznie, że mimo wysokiej ceny wyznaczonej na jego głowę, umiał wszędzie ujść karze.

Sprzyjające mu szczęście, czyniło go coraz odważniejszym.

Z ogromną zuchwałością wystąpił on w Medjolanie jako rosyjski szlachcic, wyrobił sobie stosunki w kołach arystokratycznych. Zorjentowawszy się dobrze w mieszkaniach swych znajomych, wkradał się tam nocami w rudej masce, pomarszczonej kobiety i okradał ich, a nawet mordował.

Miał on wiele dusz ludzkich na sumieniu, a ręce jego zbroczone były krwią niewinnych ofiar.

Żadna ludzka kara nie byłaby dość ostrą, by pomścić wszystkie jego zbrodnie. Potwór ten uratował się też przed ziemskim wymiarem sprawiedliwości, ale dostał się przed Sąd Najwyższego, a od Jego wszechmocnego wyroku nie ma już ucieczki.

ROZDZIAŁ CVIII

Pamiętniki Anastazji

Gdy baronowa von Wimpfen przy pomocy lekarskiej powróciła do przytomności, dostała silnych spazmów.

Dumna kobieta była zniszczona, złamana. Świadomość, że była kochanką strasznego zbrodniarza, była ciosem, który dotknął do żywego zawsze lekkomyślną i niesumienną baronową Wimpfen.

Z drżeniem myślała o tym, że jej nazwisko będzie figurowało obok nazwiska krwawego wampira.

Będzie odtąd wzgardzoną i napiętnowaną.

Już znalezienie się hrabiego Brisena było dla niej próbką, jak się obejdzie z nią reszta arystokracji.

Dawny jej adorator odjechał bowiem, nie pożegnawszy się z nią nawet. Miłość jego do baronowej zmieniła się u niego odrazu w najwyższą odrazę i wstręt.

Lola wiedziała dobrze, że tak samo potępi ją cała jej sfera i myślała nad tym, gdzie ukryć się przed pogardą ludzi.

Gdy po kilku dniach milczącej apatii, baronowa przyszła fizycznie i moralnie o tyle do siebie, aby się zdobyć na jakąś inicjatywę, zaczęła robić przygotowania do wyjazdu z Medjolanu.

Przed tym upewniła się jeszcze, że ją Frania na razie nie opuści, bo przyjemnie jej było w tym opuszczeniu mieć przy sobie jakąś wierną i współczującą duszę.

Od owej strasznej nocy czuła się baronowa tak zdenerwowaną, że nie mogła nigdy sama być w pokoju. Spała też przy świetle, a łóżko Frani musiało stać w pobliżu. Budziła ona często garderobianę w nocy, aby się uspokoić i przekonać, że ktoś wierny znajduje się obok niej.



Z okazji jubileuszu króla duńskieg Christiana X, tamtejsza poczta wydała powyższy znaczek.

Baronowa von Wimpfen nie mogąc obejść się bez Frani, podwoiła jej pensję, aby ją tylko zachęcić do zostania.

Zupełnie inaczej było z Anastazją. Baronowa nienawidziła ją szczerze. Anastazja oddała bowiem policji broszkę, którą szukano daremnie między skarbami, nagromadzonymi przez Ogrowskiego i zapewniała ze łzami w oczach, że gdyby nie uważała barona za człowieka honoru, nie byłaby od niego prezentów przyjmowała. Gdyby była tylko przeczuwała, że klejnoty te są kradzione i okupione krwią ludzką, nie byłaby ich za nic w świecie od niego przyjęła.

Frania doniosła o tym baronowej, a przy tej sposobności nadmieniła również, że Anastazja bardzo często przyjmowała podarunki od hrabiego Brisena i od księcia Iffalwi.

Teraz dopiero przekonała się baronowa, że towarzyszka jej była prawie zawsze przekupioną przez jej adoratorów, a za to szpiegowała ją i donosiła im, co chcieli wiedzieć.

Nic dziwnego więc, że odkrycie to zraziło ją do Anastazji i że postanowiła oddalić ją jak najrychlej.

— Anastazjo! — rzekła pewnego dnia do swej towarzyszki. — Wydaje mi się, że chciałbyś już powrócić do Wiednia, więc nie chcę ci stać na przeszkodzie. Dostaniesz ode mnie swoją kwartalną pensję i koszta podróży, a oprócz tego jeszcze stosowne odszkodowanie!

— To znaczy, że pani baronowa chce się mnie pozbyć! — odpowiedziała jej Anastazja ze złowrogim błyskiem w oczach.

— Nie, omyliłaś się, moja droga — odparła baronowa obojętnie.

— Pani baronowa nie potrzebuje się fatygować, aby mi wystawiać świadectwa — dorzuciła towarzyszka po chwili. Wybrałam sobie inny zawód: zostanę literatką.

To rzekłszy spojrzała triumfująco na swoją dotychczasową chlebodawczynię.

— Literatką! — powtórzyła baronowa zdziwiona.

— Tak jest, literatką! — potwierdziła Anastazja — napiszę i opublikuję swoje pamiętniki!

— To będzie z ogromną korzyścią dla współczesnych i potomnych! — drwiła baronowa.

— Głównie dla współczesnych — poprawiła towarzyszka poważnie. — O, jestem pewna, że moje pamiętniki będą miały szalony popyt. Ułożyłam sobie już nawet plan pracy. Pierwszy rozdział będzie się nazywał: „Nowożeńcy“.

— Tak — rzekła baronowa znudzona.

— A tak — odcięła Anastazja, patrząc przenikliwie na baronową — opiszę tam pewną młodą wdowę, nazwę ją, baronową Lilli Welfen, która z kochankiem swym lordem H. udaje się do Norderneg i zapisuje się z nim tam w spisie obcych jako mąż i żona, co nawiasem powiedziawszy pociąga za sobą wielką karę.

Baronowa zbladła jak ściana i przez chwilę nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

— Drugi rozdział nazwę „Nowe zapały“ — mówiła Anastazja obojętnie. — Tytuł nie jest nadzwyczaj oryginalny, ale mniejsza o to; rzeczą główną jest przecież treść.

W części tej opowiem, jak młoda, piękna wdowa, czyli baronowa Lili Welfen, jak ją przezwałam, znudziła się swoim lordem i odtraciła go dla piękniejszego amanta, którego obdarzała przez pewien czas swą łaską. Znam z tego okresu kilka bardzo zajmujących epizodów.

Mówiąc to, Anastazja schyliła się nad swą robotą i zaczęła pilnie haftować.

Baronowa zacisnęła kurczowo ręce.

Długoletnia towarzyszka wydawała jej się teraz jadowitą żmiją, którą by była najchętniej zdeptała. Ale nie chciała zdradzić się ze swoją słabością przed nią, więc musiała zachować spokój i starała się przez to opanować swoje wzburzenie.

— Następny rozdział będzie nosił tytuł: „Pawilon ogrodowy“ — zaczęła znów towarzyszka, przerywając przykre milczenie. — Opiszę w nim tak wyraźnie pewien pozornie nieużywany pawilon w ogrodzie pewnej wielkiej damy, że cały Wiedeń będzie wiedział o co mi chodzi i pozna opisany przeze mnie lokal, zaniedbany niby na zewnątrz, a wewnątrz cudnie urządzony i służący za świątynię bożka Amora. Szczegóły, które tu jeszcze umieszczę, uczynią część tę efektowną. O, książka moja będzie miała powodzenie!

— Jak myślisz, ale będziesz miała honorarium za tę książkę? — zapytała baronowa bladą, ale ze sztucznym spokojem.

— Pięćdziesiąt tysięcy reńskich! — odrzekła Anastazja patrząc zuchwale i wyzywająco na baronową.

— Liczysz trochę za wiele — odparła Lola dość chłodno.

— O, wcale nie, pani baronowo — broniła się towarzyszka — moje dzieło przyniesie mi dużo dochodu, rozdział zatytułuję: „Rozłączeni na wieki“ i opiszę w nim, jak bohaterka moja wabi, a potem krzywdzi pewnego, przystojnego studenta, który z rozpaczy topi się w kanale Weneckim.

— To przecież niedowiedzione i było tylko przypuszczeniem — szepnęła

Lola zbladłymi ustami, tracąc równowagę umysłu.

— Wszystko dość wyraźnie przemawiało za tym przypuszczeniem — rzekła Anastazja. — Nie można było tego studenta nigdzie odnaleźć, okno zaś jego pokoju, wychodzące na kanał, było otwarte.

Zostawił wszystkie swe rzeczy, a wiarogodni świadkowie słyszeli w nocy przytłumione jęki jakiegoś człowieka, który wpadł w wodę. Kto wie, gdzie się teraz zwłoki tego biedaka obracają!

Ale i to nie jest jeszcze kwintesencją mego pamiętnika. Będzie nią dopiero ostatni jego rozdział pod tytułem: „W sidłach wampira!“ Treści tego epilogu może się pani baronowa mniej więcej domyśleć.

Niezmierna nienawiść i mściwość wyzierała z zielonych oczu starej panny, gdy spoglądała na swoją ofiarę. Baronowa, zwalczała wzburzenie.

— Czy wiesz jak się nazywa takie postępowanie? — zapytała ostro.

— Boże mój! — odparła towarzyszka niewinnie — ja dzielę się z panią baronową tylko swoimi planami na przyszłość!

— Ty chcesz, abym drogo okupiła twe milczenie, moja kochana — rzekła baronowa — to jest, chcesz wyłudzić u mnie większą sumę, a nie wiesz może, że to pachnie więzieniem. Przeczułaś, łaś, że raczej poniosę pewne ofiary, niż zechcę narazić się na ludzkie obmowy. Jak wielką sumę żądasz za swoją dyskrecję?

— Jeśli więc pani baronowa myśli, że byłoby lepiej, abym zrezygnowała ze swej literackiej działalności, to zgodziłabym się ostatecznie na pięćdziesiąt tysięcy reńskich — rzekła Anastazja spokojnie.

— Oszalałaś! — gniewała się Lola — toć to przecież majątek. I dziesięć tysięcy byłoby jeszcze za dużo.

— Moje pamiętniki więcej mi przyniosą, niż 50.000 — opierała się Anastazja.

— Byłabym głupią, gdybym taką sumę niepotrzebnie wyrzuciła! — krzyknęła baronowa gniewnie. — Tak bezwstydnymi żądaniami doprowadzisz tylko do tego, że ci nic nie dam!

— Niech i tak będzie — odpowiedziała towarzyszka obojętnie i zaczęła znów pilnie haftować — w takim razie napiszę swoje pamiętniki.

Baronowa przechadzała się niespokojnie po pokoju rozważając pro i contra tej sprawy i rzucając gniewne spojrzenie na towarzyszkę, która pracowała spokojnie.

— Dam ci 20.000 reńskich — rzekła po chwili — jak je gdzieś dobrze ulokujesz, możesz mieć 1.000 reńskich dochodu, który ci w zupełności na wygodne życie wystarczy.

— Ale za 2.000 lepiej żyć można, niż za tysiąc — odpowiedziała Anastazja spokojnie.

— Nie — odpowiedziała baronowa oburzona — z tego nic nie będzie. Zapomniałaś pewno, że prezydent policji jest moim krewnym i że mi się o to postara, aby twoje pamiętniki zaraz po wydaniu uległy konfiskacie.



To rzekłszy usiadła i wzięła książkę do ręki, ale zamiast wczytywać się w nią, spoglądała z ubocza na Anastazję.

Lecz twarz starej panny była spokojna i nie zdradzała żadnych uczuć.

— Pani baronowo! — rzekła po chwili namysłu Anastazja — niech więc będzie 30.000 reńskich, ale to jest moje ostatnie słowo.

Zgoda! — odpowiedziała baronowa, opanowując się. — Dostaniesz te pieniądze, ale pod warunkiem, że zachowasz w tajemnicy wszystko, cokolwiek u mnie widziałaś i słyszałaś. Jeśli się dowiem o najmniejszej niedyskrecji z twej strony, to potrafię się zemścić — dodała, spojrzawszy ostro na starą pannę.

— Pani baronowa może na mnie polegać — rzekła Anastazja uniżenie.

— Ponieważ nie noszę nigdy większej sumy w kieszeni — powiedziała baronowa, otwierając kasetkę — masz tu 1000 reńskich na zadatek i czek do mego bankiera na 29.000, które ci ma wypłacić.

Wypełniwszy formularz, podała go Lola towarzyszce, a ta schowała cenny papier z podziękowaniem.

— A teraz — krzyknęła baronowa wzburzona — żądam, abyś mi się więcej nie pokazywała na oczy. Zabieraj się stąd zaraz i unikaj na przyszłość jak najstaranniej spotkania ze mną...

Ze zwykłą swą pedanterią złożyła robotę, skłoniła się uprzejmie baronowej i wyszła wolnym krokiem z pokoju.

Lola Wimpfen popatrzyła za nią ostrym wzrokiem.

Strata pieniężna nie gnębiła ją tyle, co myśli, że mimo tej ofiary, była przecież w mocy tej nędznej istoty. To było jej wielką troską.

W kilka godzin później wyjeżdżała panna Anastazja Rother w wagonie pierwszej klasy w stronę północy. Była w różnym humorze i snuła plany lepszej przyszłości. Dotychczas wegetowała tylko, a życie jej miało się zacząć dopiero od tej chwili, życie i używanie.

Przekwitła, przeszło 40-letnia panna oddawała się iluzjom podlotka i marzyła o niezmąconym szczęściu.

Czy marzenia i życzenia jej się spełnią i czy wymuszone na baronowej pieniądze szczęście jej przyniosą?

Przyszłość to okaże! W jej łonie kryją się losy ludzkie, a każdy z nich ulega pierwej czy później swemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ CXXV

Przybycie do farmy

Nazajutrz rano obudziła czarna dozorczyni Zuzię z twardego snu.

— Czego chcecie? — spytała zaspana, piękna kobieta.

— Proszę się prędko ubierać, bo dojeżdżamy do miejsca — rzekła murzynka — trzeba będzie przesiadać się na łódkę.

— Więc jesteśmy już u celu? — zapytała Zuzia.

Tak była ciekawą ujrzeć swoją farmę, że zebrała się czemprędzej i pobiegła na pokład, z którego przyglądała się okolicy.

Ale to, co widziała, nie było ani pocieszające, ani malownicze.

Znikły piękne pola, zasiane dojrzewającą już kukurydzą i ustąpiły miejsca ciemnym lasom i bagniskom rozciągającym się, jak daleko tylko oko sięgnąć mogło.

O ile przygnębiającą była dla Zuzi myśl, że będzie odtąd musiała mieszkać wśród tych, straszliwą febrą ziejących bagnisk, o tyle znowu z drugiej strony uczuwała złośliwą radość, na myśl, że się jej mąż tak dał oszukać.

Nie miała zupełnie zamiaru wytrwać przy swoim mężu w razie, gdyby mu się źle powodziło. Nie brała sobie też tak bardzo do serca straty jego majątku.

Rudy Majer zaś tak był zrozpaczony widokiem tych bagien ciągnących się bez końca, że aż litość brała patrzeć na niego.

W zamyśleniu swym nie spostrzegł nawet, jak przygotowano łódź, na którą włożono jego pakunki i dopiero Zuzia musiała zwrócić mu uwagę, że muszą tu wylądować.

— Jakto? — zapytał wzburzony — tu mamy wylądować? A jakim sposobem dostaniemy się na farmę „Szczęście i błogosławieństwo“?

— Niedaleko stąd — pospieszył objaśnić go jeden z majtków, i wskazując na jakąś starą ruderę i zawaloną stajnię, rzekł:



Młody książę rumuński, Michał bawił ostatnio w Warszawie. Na zdjęciu widzimy go podczas rozmowy z marszałkiem Rydzem Śmigłym.

— To jest właśnie farma „Szczęście i błogosławieństwo".

— To jest okropne kłamstwo! — zawołał Majer gniewnie.

— Nie jeden już to samo mówił — odrzekł majtek spokojnie — ale to jest czysta prawda. Sześć lat jestem tu na tym okręcie i przywoziłem tu już nie jednego biedaka, który rozpaczał nad tym, że się dał oszukać przez tego łotra, Piotra Schulzego.

Długo wstrzymywana złość Majera wybuchła teraz żywiołową siłą, a z ust jego posypał się potok przekleństw i złożeczeń na łotra, który go tak haniebnie oszukał.

Nie pozwolono mu jednak wyszumieć się.

„Czas to pieniądz" jest przysłowiem bardzo cenionym w Ameryce, to też silne ręce chwyciły rozkrzyczanego Majera i wytransportowały go gwałtem na czółno, na którym czekała już Zuzia.

Gdy łódź przybiła do brzegu, wysadzono go na ląd z żoną i kuframi i łódź ruszyła z powrotem do okrętu.

Majer, nieprzytomny z gniewu, stał na brzegu i patrzył za odpływającą łodzią. Zuzia usiadła na kufrze i rozglądała się wokoło pół gniewnie, pół drwiąco.

Wreszcie wyszedł z chaty stary, jednooki i krzywy murzyn i zaczął przypatrywać się ciekawie przybyszom.

— Jestem Sambo, zarządca farmy „Szczęście i błogosławieństwo" — przedstawił się złą niemieczczyzną. — Czy wy jesteście może nowymi właścicielami?

Rudy Majer nic nie odpowiedział i patrzył osłupiałym wzrokiem przed siebie, natomiast Zuzia odparła mu żywo:

— Tak jest, jesteśmy nowymi właścicielami tej farmy. Gdzież jest reszta służby? Zawołaj kogoś, aby nam kufry zaniósł do domu.

— Była tu jeszcze jedna stara kobieta — rzekł Sambo smutnie — ale umarła od ukąszenia węża i młody chłopak, który umarł na febrę. Ja kuleję z reumatyzmu, ale zresztą można tu dobrze żyć — dodał, pocieszając nowych właścicieli.

Zuzia załamała ręce z rozpaczy.

— Jezusie Święty — krzyknęła — to będzie moja śmierć. Piękne niespodzianki mnie tu czekają, węże, febra i reumatyzm.

— Dobrze przynajmniej, że nie macie małych dzieci — rzekł Sambo.

— Dlaczego? — zapytała Zuzia.

— Bo poprzedni farmer, Miller, miał dziecko, to mu świnie poobgryzały nos, uszy i ręce, tak, że biedactwo zginęło — opowiadał Sambo niewinnie.

Młoda kobieta zaczęła wywodzić swe żale:

— Tu mam zostać i tutaj żyć. Nie, dziesięć koni mnie tu nie zatrzyma.

— Musisz tu zostać — rzekł rudy Majer ponuro i wziąwszy jeden kufer na plecy, zaniósł go do wnętrza chaty.

Chata ta była obrazem nędzy i zaniedbania i była raczej podobną do chlewa, niż do pomieszkania ludzkiego, drzwi wisiały krzywo na zawiasach i nie miały ani zamku, ani zasuwki, a kilka dużych kamieni służyło za piec.

Całe umeblowanie składało się z jednej dużej skrzyni, jednej ławki o nierównych nogach, z krzywego stołu i z niewielkiej ilości sieczki rozrzuconej na brudnej kapie.

Z naczyń kuchennych była wielkich rozmiarów blaszana misa, kamienny garnek, konewka i dwa żelazne garnki i brytwanna.

— Nawet młynka do mielenia kawy nie ma — lamentowała Zuzia — o przeklęty oszust!

Był to szczyt nieszczęścia w jej pojęciu. Mogła się bowiem zgodzić na brak komfortu, ale żeby miała zrezygnować ze swego ulubionego napoju, to najbardziej ją dotknęło.

Krzyczała więc, płakała, zawodziła i narzekała jak przekupka.

Poczciwy Sambo czynił wszystko, co możliwe, aby złość jej podsycić.

Przybycie nowych właścicieli było mu nie na rękę, bo gdy był tu sam, mógł rządzić jak mu się podobało, w obecności właściciela zaś, musiał pracować i stosować się do jego życzeń.

Starał się też dlatego uczynić mu pobyt tu jak najprzykrzejszym, a zabrał się do rzeczy z wyszukanem wyrafinowaniem.

Gdy mu Zuzia kazała rozpalić pod kuchnią, aby przyrządzić śniadanie, uczynił to z takim zapałem, że wkrótce gęsty dym i duszący swąd, napełnił całą izbę a Zuzi aż łzy się w oczach zakręciły.

— Czy tu zawsze tak się dymi? — zapytała Zuzia murzyna.

— No, dziś to jeszcze wcale się nie dymi — pocieszał ją Sambo — ale czasem, to tak jest czarno od dymu, że nic nie można dojrzeć.

— Jeżeli ten dzisiejszy dym jest jeszcze mały, to bardzo piękne rzeczy czekają mnie tutaj — rozpaczała Zuzia, załamując ręce — tu przecież można się uwędzić.

Trochę dymu nie szkodzi — objaśniał ją Sambo — bo w lecie tyle jest tu moskitów i różnych innych owadów, że gdyby nie dym, który je odpędza, to zjadłyby żywcem człowieka.

— I moskity są tu także? — przestraszyła się Zuzia.

— Mnie one nic nie szkodzą — uspakajał ją Sambo — moskity wolą białych i gdy ich tu mają, to mnie, czarnemu, wtedy zupełnie dają spokój. Szczególnie zaś lubią kąsać kobiety. Żonę pana Oldfielda, na przykład, bardzo piękną białą kobietę, to tak pokłuły, że się musiała położyć do łóżka, bo jej oczy i uszy napuchły tak, że nic widzieć, ani słyszeć nie mogła.

To mówiąc, patrzał na nią obłudnolitościwym wzrokiem, kiwając głową na znak nieopisanego współczucia.

Zuzia mając bujną fantazję, widziała się już pokąsaną przez moskity i zeszpeconą do niepoznania, a to pogarszało coraz więcej jej zły humor.

Chytry murzyn złapał teraz wygiętą i brudną konewkę, aby przynieść wody na herbatę. Do mętnej i tak już wody, domieszał jeszcze trochę gąszczu z bagna, aby smak jej jeszcze pogorszyć. W ten więc sposób sporządził jakąś diabelną juszkę, którą nazwał szumnie „herbatą" i postawił ją w blaszance na stole.

— Przynieś filiżanki! — rozkazała Zuzia.

— Tego u nas nie ma, my pijemy z garnka — objaśniał murzyn z uśmiechem.

— Gdzie jest mleko? — spytała Zuzia.

— A skądże tu ma być mleko? — rzekł — kiedy na jakie 30 mil wokoło nie ma ani jednej krowy.

— No, to daj przynajmniej cukru — prosiła młoda kobieta.

Murzyn miał wprawdzie puszkę z cukrem, ale wolał ją schować dla własnego użytku. Rzekł więc, kuląc się przed Zuzią:

— Cukier był, ale go szczury pogryzły. Mamy tu takie szczury, jak duże koty.

— Boże święty! — lamentowała Zuzia, — i to jest ten masywny dom, który na papierze tak okazale wyglądał! Gdybym tego niesumiennego łotra miała teraz tutaj, mogłabym go z zimną krwią zamordować.

Gdzież jest bydło, urodzajne pola i piękny ogród, który kupiłeś? — rzekła, zwracając się do męża i pieniąc się ze złości. Nasze całe nieszczęście pochodzi z wódki. Gdybyś się nie był tak upił, nie byłoby się udało Schulzemu cię oszukać! To wódka nas zgubiła!

Ale cóż ja temu winna? Za co ja pokutuję? Nie ma już chyba sprawiedliwości na ziemi!

— O, jest jeszcze sprawiedliwość na ziemi! Pieniądze, które w tak podły, nikczemny sposób zarobiłem, przyniosły mi nieszczęście! Zebrałem tylko to, co posiałem.

— A cóż to były za pieniądze? — spytała Zuzia ciekawie. Ale Majer udał, że nie słyszy pytania i zwrócił się do murzyna:

— Pokaż mi bydło i pola!

Stary murzyn pobiegł kulejąc naprzód, a Majer szedł za nim z ciężkim sercem, aby oglądnąć swoją posiadłość.

Zuzia tak była głodna i spragniona, że przezwyciężyła swój wstręt i przyłożywszy zakopconą blaszankę do ust, napiła się trochę tej tak zwanej herbaty.

Ale w następnej chwili twarz jej skrzywiła się okropnie i wypluła obrzydliwy napój na podłogę. Szukając za czymś, co by do ust można było wziąć, znalazła w glinianym garnku trochę wilgotnej soli, a na haku na ścianie wisiał kawał wędzonej wieprzowiny, spleśniałej już trochę z wierzchu. W jakiejś beczułce było też trochę kukurydzy i na tym kończyły się zapasy żywności.

Z kukurydzą nie wiedziała co ma począć, spleśniała wieprzowina obrzydzała ją, a prócz tego czuła jakieś dziwne świdrowanie w okolicy żołądka i niezwykłe osłabienie.

Usiadła na chwiejącą się ławkę, zakryła twarz rękoma i zaczęła gorzko płakać.

— O, gdybym była została w ojczyźnie i nigdy Ameryki nie poznała! — szlochała Zuzia.

Tymczasem Majer oglądnął farmę, na którą składało się trochę lasu i bardzo rozległe bagniska. Bydła rogatego wcale nie było, a z nierogacizny tylko cztery chude wieprze i dwa małe prosiaki. I to nazywał Schulze obfitym bydłostanem!

— Przede wszystkim muszę postarać się o trochę pieniędzy — pomyślał — bo o tym przecież nie ma mowy, abym tu znalazł jakiegoś kupca na tę posiadłość — rzekł do siebie.

— Ale gdzietam! — śmiał się Sambo — każdy farmer na 30 mil wokoło pozbyłby się sam chętnie swej posiadłości, gdyby się znalazł taki głupi, któryby chciał to kupić.

— Ale wieprze, to chyba będzie można sprzedać? — spytał Majer.

— Każdy tu sam ma dość wieprzów, więc nie potrzebuje kupować — zapewniał murzyn — kto tu chce pieniądze zarobić, musi wziąć siekierę do ręki i pracować jako drwal w lesie. Ja tu nawet tego mieć nie mogę, bo nie mam siekiery, a oprócz tego jestem stary, kulawy i chory.

— Tak, to prawda — mruknął Majer — będę musiał wyciąć część tych drzew i sprzedać je jakiemuś przejezdnemu kapitanowi okrętu i zarobić w ten sposób na podróż z powrotem.

Postaraj mi się o jakąś siekierę! — rozkazał murzynowi. — Zabiorę się zaraz do ścinania drzew.

Sambo przestraszył się, że Majer będzie od niego żądał pomocy, rzekł więc do niego:

— Jeżeli pan nie przywiózł siekiery ani topora, to przepadło, bo tu nie można kupić tych rzeczy.

— Musi tu przecież być jakieś miasto w pobliżu — oburzył się rudy — to niemożliwe, aby za pieniądze nie można było dostać siekiery.

— Jest tu miasto zwane „Wilsontown", ale o 50 mil stąd oddalone — odpowiedział murzyn. — Któż więc pójdzie tak daleko? Pan nie znajdzie sam drogi, a ja już jestem na to za stary i zbyt osłabiony. Sambo nie może już tak daleko chodzić ze swoją krzywą nogą.

Majer westchnął głęboko, ale wobec tych przeciwności obudziła się w nim odwaga i siła odporna.

— Pójdę poprosić o siekierę sąsiadów — rzekł wreszcie — widzę dym w oddali, musi tam być jakieś ludzkie mieszkanie.

— Mieszkają tam ludzie, ale całe lato chorowali na febrę, pochowali biedacy troje dzieci, a mają jeszcze dwoje — odpowiedział Sambo z zimną krwią.

— Więc pójdę do nich — rzekł Majer stanowczo i poszedł w stronę chatki, a Sambo został sam. Co poczciwy murzyn w międzyczasie tym zrobił, opowiem szanownym czytelnikom później. Teraz proszę, aby podążyli ze mną do farmy.

Majer idąc, oglądał puste mokradła i popadał coraz to więcej w rozpacz.

Wkrótce zobaczył duży kawał osuszonego bagna zasianego kukurydzą. Ta jednak nie udawała się tutaj; była niską, a ziarnka były małe i nie tak żółte, jak być powinne.

W mule bagiennym tarzało się kilka chudych i nędznie wyglądających wieprzów. Kilka oskubanych kur szukało ziaren, a kogut stał z melancholijnie opuszczonymi skrzydłami.

Nawet zwierzęta cierpiały w tym niezdrowym klimacie i chodziły ze spuszczonymi głowami, leniwie i smutnie, jak to czyni tylko chore bydło.

Domek, do którego się zbliżał, nie był wprawdzie wytworny, ale o tyle wygodnie urządzony, o ile w tym ustroniu było to możliwe.

Miał on dwa okna przystrojone kolorowymi firankami i kwitnącymi kwiatami zasadzonymi w jakimś starym garnku. Drzwi były mocne i szczelnie przymknięte, komin stał prosto, a gęsty dym wychodził z niego na zewnątrz.

Majer zapukał do drzwi.

Cienki głosik kobiecy odezwał się z wnętrza, prosząc w angielskim języku, aby obcy wszedł do izby.

Otworzywszy drzwi, znalazł się odrazu w głównym pokoju tego domku. Uderzała w nim wzorowa czystość, a taką samą wzorową czystością w ubraniu odznaczała się też pani domu, blada i chorowita kobieta, która z małym dzieckiem na ręku, zajęta była przy kuchni.


Jeszcze jedno zdjęcie z uroczystości koronacyjnych w Londynie! Oto dwóch sułtanów i jeden emir, którzy przybyli na koronację, jako przedstawiciele państw azjatyckich.

Mogła ona mieć 30, a najwyżej 32 lat i miała nadzwyczaj regularne rysy, ale brak jej było jakiejkolwiek świeżości.

Piękne czarne jej oczy, były zapadłe i okolone ciemnymi sińcami. Cera jej była żółtawa, usta zbladłe i zsiniałe, a ręce trzęsły się z osłabienia.

Jeszcze więcej przykry był widok dziecka, podobnego raczej do małego, żyjącego szkieletu. Usteczka jego były także sine i wydawały bezustannie ochrypłe, a bolesne jakieś tony.

Dziewczynka zaś, może 6-letnia siedziała na małym krzesełku i patrzyła apatycznie i bezmyślnie przed siebie. Po wychudłych jej rączętach i głęboko osadzonych oczach poznać było można, że i ona była chorą.

Nędza ta przygnębiła rudego Majera jeszcze bardziej, bo mimowoli pomyślał, że i jego kwitnąca, świeża Zuzia wkrótce zachoruje i tak wyglądać będzie, jak owa biedna kobieta.

Bezwiednie zaklął znowu i przestraszył tym gospodynię domu.

— Boże uchowaj! — rzekła — jak można takie bezbożne wyrazy mieć na ustach.

— Proszę mi wybaczyć — bronił się Majer — zapomniałem, że mówię w obecności pani.

Potem przypomniawszy sobie swoją nędzę, rzekł złamanym głosem:

— Musi mi pani niejedno wybaczyć; jestem nieszczęśliwy, zniszczony człowiek, który już nie zważa na słowa. Przyjechałem tu ze swoją żoną... Kupiłem farmę „Szczęście i błogosławieństwo", dodał po długiej przerwie.

Słowa te powiedziały wszystko.

Młoda kobieta podała mu rękę i rzekła dźwięcznym głosem:

— Żałuję was z całego serca, sąsiedzie. Żałuję i żonę waszą. Czyście przywieźli wszystko ,co wam jest potrzebne do urządzenia? — zapytała.

Rudy zaprzeczał ruchem głowy.

— Ależ nie możecie mieszkać w tej zapadłej, brudnej dziurze! — zawołała młoda kobieta żywo — dostaliśmy tam wkrótce febry.

— A gdzieżbyśmy mieli mieszkać? — zapytał Majer.

— Naturalnie, że u nas — zapewniała dobrotliwa kobieta. — Na tych okropnych bagnach muszą się sąsiedzi wzajemnie wspierać i bronić. To jest jedyne dobre, co tu mamy. Sprowadźcie waszą żonę do nas, będzie ona tu mile widziana.

— Dlaczego nie? — zapytała kobieta z zapałem — to u nas jest w zwyczaju. Myśmy mieszkali z naszymi dziećmi — tu łzy jej w oczach stanęły — u sąsiada Trorenza przez 8 tygodni i za trzymywano nas tam z największą gościnnością, abyśmy jeszcze dłużej zostali, gdy domek nasz był gotów.

Nie róbcie więc żadnych ceregieli i przyprowadźcie tu natychmiast żonę. Sambo, ten brudas nic przecież nie przygotował dla was.

— Jeżeli wraz z mężem na to godzicie się, to w rzeczy samej przyprowadzę tu Zuzię natychmiast — rzekł Majer, mile poruszony serdecznością swej sąsiadki.

— Mój mąż bardzo się będzie cieszył — zapewniała poczciwa kobieta. Nie macie pojęcia, jakie samotne życie tutaj prowadzimy, i jak pragniemy jakiejkolwiek odmiany. A przynieście także wasze kufry ze sobą, bo inaczej Sambo was okradnie. Kradnie bowiem, jak sroka i nic się przed jego długimi palcami nie ostoi.

— Dziękuję pani za ostrzeżenie — rzekł Majer — teraz bowiem, gdy się o tym dowiedziałem, nie dam mu okazji do kradzieży.

Skłoniwszy się, podążył szybkim krokiem w stronę swego domostwa, aby się z żoną podzielić radosną wieścią, że znajdą na pewien czas dobre pomieszczenie.

Radosna ta nowina w rzeczywistości ucieszyła Zuzię.

Osuszyła łzy, włożyła kapelusz i podążyła za swoim mężem, który szedł naprzód z dużym kufrem na plecach.

Sąsiadka wyczekiwała gości przy oknie i zdziwiła się mocno, gdy zobaczyła Zuzię tak pięknie i elegancko ubraną. Nawet 6 - letnia jej córeczka ożywiła się i zawołała, wskazując na Zuzię:

— Mamo, co za cudny kapelusz. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu kwiatów na jednej głowie.

— Na Boga — mruknęła żona farmera — cóż ta elegancka kobieta z morskiej pianki pocznie tu w tych bagnach.

Z dzieckiem na ręku wyszła naprzeciw swych gości i przywitała ich serdecznie.

Zuzia odpowiedziała uprzejmie na ciepłe jej powitanie i kazała Majerowi iść natychmiast po drugi kufer.

— Czy przywieźliście potrzebne narzędzia? — zapytała żona farmera.

— Nie — odparła Zuzia obojętnie.

— A cóż macie w tych kufrach? — badała żona farmera.

— Moja garderoba — rzekła Zuzia z dumą.

— Boże mój — pomyślała farmerka — gdyby byli lepiej zamiast tych niepotrzebnych szmat, które nie mają tutaj wartości, przywieźli potrzebne im narzędzia.

Nie wypowiedziała jednak tego, co myślała, lecz położywszy dziecko do kołyski, zaczęła się krzątać przy obiedzie.

— Obawiam się, że jesteście przyzwyczajeni do dobrego życia — rzekła, patrząc na toaletę Zuzi — ale czym chata bogata, tym rada. My nie mamy tu nic innego, jak tylko wieprzowinę, kukurydziankę i kartofle, a herbatę i kawę pijemy bez mleka. Próbowaliśmy też trzymać krowę, ale zdechła nam po kilku tygodniach, z powodu kwaśnej trawy i brudnej, niezdrowej wody bagnistej.

— Musi tu być strasznie pusto — rzekła Zuzia z obawą.

— Okropnie! — odpowiedziała farmerka, a potem dodała:

— Ale nie przedstawiłam się jeszcze pani. Nazywam się Brinkmannowa.

— Bardzo mi przyjemnie — zapewniała Zuzia, dygając — moje nazwisko jest Majer. Nie myślałam, że mi kiedyś tak źle będzie — dodała ze skargą — ale mój mąż dał się oszukać i stracił cały majątek. Ostrzegałam go, ale nie chciał słuchać.

— Wielu już w ten sposób zostało oszukanych — odpowiedziała Brinkmannowa z westchnieniem — memu mężowi także oszuści wmówili, że tutaj kwitnie handel drzewny, że jest tu szkoła, kościół i lekarz niemiecki. Dał się więc namówić z pięknej, urodzajnej farmy zwabić tu w te bagna, które stały się grobem dla trojga naszych dzieci. Teraz mój mąż pracować musi jak galernik, aby złożyć sobie trochę pieniędzy i na wiosnę stąd wyjechać. Mamy już trochę złożonego grosza i jak nam nic nie przeszkodzi, będziemy mogli poszukać sobie na wiosnę lepszego i zdrowszego miejsca pobytu.

Duże krople łez potoczyły się po jej bladych policzkach, gdy to mówiła, gdyż przypomniała sobie trzy małe groby, które tu będzie musiała zostawić.

— Majer będzie mógł tak samo pracować, jak wasz mąż — odpowiedziała Zuzia — jakiego rodzaju jest to zatrudnienie?

— Ścinanie drzew — odpowiedziała Brinkmannowa — jest to bardzo natężająca i niebezpieczna robota. Dopiero przed kilkoma tygodniami stracił jeden mężczyzna życie przy tym i osierocił żonę z trojgiem dzieci.

— Mój mąż jest silny i zręczny — rzekła obojętnie Zuzia — nic mu się nie stanie.

Tymczasem dziecko zaczęło płakać z żalu, że je tak zaniedbywano.

Pani Brinkmannowa spojrzała na swego gościa, ale jeżeli się spodziewała, że Zuzia zastąpi ją przy dziecku i trochę się z nim popieści, to się bardzo w tym pomyliła.

Zuzia nie lubiała dzieci i bała się o swoją suknię. Musiała więc siostrzyczka, która dotychczas nie spuszczała oka z pięknej kobiety, pójść do kołyski i zająć się swym braciszkiem.

I Sambo nie próżnował w tym czasie. Odszukał w lesie miejsce, gdzie przed kilku dniami widział zdechłego węża i zaniósł go w pobliże zapadłej chaty, aby Zuzię widokiem tym odstraszyć.

W chwili, gdy spuszczał nieżywego węża na ziemię, zobaczył nowego pana, wychodzącego z chaty z kufrem na plecach.

Przyśpieszonym krokiem przystąpił murzyn do Majera.

— Pan nie zechce przecież stąd uciekać — rzekł z pozornym żalem a z triumfem w duchu.

— Tak, będziemy mieszkać u sąsiadów — odparł Majer krótko.

— Na Boga — krzyknął Sambo, udając, że w tej chwili dopiero zobaczył węża — na Boga, uważajcie panie, bo tam jest duży wąż.

To rzekłszy, skoczył w bok, jakby z obawy przed jadowitym płazem.

Majer nie troszczył się o swoje życie, bo był za biedny i za nieszczęśliwy na to. Przystąpił i przypatrywał się zwierzęciu bez trwogi.

— Ten wąż jest nieżywy — rzekł.

— To tylko tak się wydaje — straszył Sambo — panie, panie, niech pan uważa, bo węże to diabelskie stworzenia i umieją udawać. Nieraz już myślałem, że widzę pień, albo gałęź, a gdy się zbliżyłem, zobaczyłem, na szczęście w czas jeszcze, że to była jadowita żmija.

Ale były stangret nie dał się zbić z tropu murzynowi i zbliżywszy się do gadziny kopnął ją nogą i zawołał:

— Ten już nie żyje.

Następnie poszedł dalej, nie okazawszy najmniejszego przestrachu.

— Ten pan to uparta głowa — zaklął murzyn. — Nie chce wierzyć, co mu Sambo mówi, a Sambo nie jest kłamcą.

Wróciwszy do Brinkmannów, zjadł Majer z nadzwyczajnym apetytem strawę, przygotowaną mu przez gościnną sąsiadkę, i ledwie skończył jeść, nadszedł sam farmer.



Wytwórnia „Ufa-Film" nakręciła nowy film pod tytułem: „Patrioci" z Lidą Baarową w roli głównej. Na zdjęciu scena przed sądem wojennym.

Brinkmann był słusznego wzrostu i silnej budowy, ale niszcząca febra i na nim nie pozostała bez śladu. Pracował wprawdzie dalej bez szemrania, ale to z wytężeniem wszystkich swych sił.

Powitał gości ze szczerą serdecznością i zaraz zapytał:

— No, mój przyjacielu, powiedzcie, co mam dla was zrobić?

— Pożyczcie topora lub siekiery, abym natychmiast mógł pójść do lasu pracować — odpowiedział Majer z błyskiem w oczach — ja czuję w sobie siłę olbrzyma.

— Słusznie — odpowiedział Brinkmann uprzejmie — przy pracy wszystko się zapomina najprędzej, nawet zgryzoty i rozczarowania.

Dam wam siekierę, którą mam zarezerwowaną, a Sambo dostanie toporek, którym będzie mógł ścinać gałęzie z drzew.

To rzekłszy, przyniósł jedno i drugie, a Majer przyjął oba narzędzia z podziękowaniem i pożegnawszy się pobiegł do swojej chaty, gdzie zastał murzyna przy obiedzie, składającym się ze słoniny i placka kukurydzianego.

— Zjedz i chodź ze mną — rzekł Majer.

— Tak jest, panie — odpowiedział Sambo pokornie — pójdę z tobą na koniec świata. Jestem pracowity, chętny, rzetelny i wierny.

— Dobrze, dobrze — rzekł Majer, nie ufając bardzo jego zapewnieniom — zjedz tylko prędko, abyśmy się mogli zabrać do roboty.

Słowo „robota" wywarło na murzynie przykre wrażenie.

— Pan każe mi ścinać drzewa? — zapytał. — Sambo na to nie ma sił. Sambo ma już więcej niż sto lat i może tylko łżejszą pracę wypełniać.

— Ależ to niemożliwe, abyś miał już sto lat — nie dowierzał mu rudy.

— Na pewno panie — zapewniał go murzyn — wierzcie mi!

Murzyni nie wiedzą bowiem nigdy ile lat mają, i często najbezsensowniej wiek swój podają. Pewna wdowa n. p. mająca już 4-letnie dziecko, powiedziała zapytana, że ma 12 lat i zapewniała uparcie, że tak jest w istocie.

Rudy wzruszył ramionami.

— Niech i tak będzie — rzekł obojętnie — mnie to wszystko jedno czy masz 100 lat, czy więcej; to jest pewne, że musisz pracować.

— Ale ja nie umiem ścinać drzew — lamentował Sambo — jestem za słaby na to.

— Będziesz mi tylko ścinał gałęzie — pocieszał go Majer.

Ale i o tym nie chciał murzyn słyszeć. Postanowił nic nie robić i tak to urządzić, aby pan jego na niego pracował. Był jednak zanadto chytry, aby się do tego przyznać od razu.

Dobrotliwie zaprowadził swego pana w miejsce, gdzie były najgrubsze drzewa i rzekł:

— Oto panie, jest twój las.

Rudy wybrał zaraz rosłą topolę i zabrał się do niej z takim zapałem, że gorący pot lał mu się z czoła.

Sambo zaś usiadł sobie na kamieniu i przypatrywał się swobodnie jak się jego pan mozolił.

— Sznur jest mocny — uspakajał Sambo swego pana, wskazując na sznur, który przymocowany był do drzewa i miał przeszkodzić, aby drzewo to nie upadło w fałszywym kierunku, gdy się po kilkogodzinnej ciężkiej pracy zaczęło chwiać i schylać.

Przypatrywał się temu widowisku z wygodnego siedzenia, ale gdy drzewo to wreszcie padło z głośnym trzaskiem na ziemię i padając złamało stojącą na drodze młodą topolkę, podskoczył i raźno chwycił za swój topór.

— Teraz ja będę pracował — rzekł z przechwałką, teraz Sambo pokaże co umie!



Idylliczny obrazek z środkowej Francji.

To rzekłszy zaczął ścinać najsłabsze gałązki z samego szczytu drzewa, ale ledwie pracował 10 minut, gdy topór wypadł mu z ręki, a on sam zaczął jęczeć i stękać jak ciężko chory.

— Sambo umiera — jęknął i padł na ziemię.

Z litością schylił się Majer nad symulantem.

— Co cię boli? — zapytał.

— Wszystko mnie boli, koniec mój się zbliża — skarżył się murzyn — umieram już nędzny i opuszczony w lesie.

— Nie będzie jeszcze tak źle — pocieszał go rudy.

Ale murzyn zaczął tak jęczeć i oczyma zawracać, że się Majer doprawdy przestraszył i myślał, że on już kona. Nie chciał dać staremu skończyć w lesie i bez pomocy, wziął go więc na barki i zaniósł tak jęczącego i zawodzącego starca do domu, do tej zapadłej ich chatki.

Spocony i uginający się pod swoim ciężarem Majer osiągnął nareszcie swe mieszkanie i położył chorego na słomę leżącą w izbie.

— Jeżeli pan chce spełnić ostatnie moje życzenie, to niech mi pan przyniesie naparsteczek rumu, prosił go Sambo.

Dobrotliwy Majer pobiegł do Brinkmannów i opowiedziawszy tam całą swą przygodę prosił o odrobinę rumu, którą mu też dano.

Sambo wychylił rum jednym łykiem, a gdy go Majer zapytał, czy mu lepiej, obraził się śmiertelnie i oświadczył Majerowi solennie, że zaledwie 5 minut jeszcze żyć będzie.

Ale czas upływał, a murzyn nie umierał, lecz przeciwnie zasnął tak silnie, że chrapał.

Majer opuścił go uspokojony.

Tymczasem na dworze zmierzch zapadł, z bagien wznosiły się gęste mgły, przybierające różne postacie i kształty upiorowate.

Majerowi zdawało się, że widzi jakąś trumnę i kondukt pogrzebowy. Wizja jego była tak wyraźną, że zdjął czapkę i mówił Ojcze nasz.

Właśnie, gdy wymawiał Amen, w tej chwili pierzchła ta fata morgana.

Rudy zadrżał.

Co to był za omen?

Przyśpieszył kroku, ale ku swemu zdziwieniu nie zobaczył farmy Brinkmanna.

Zbłądził.

Starał się zorientować, gdzie jest i w którym kierunku ma teraz pójść, gdy uczuł, że grzęźnie w bagnisku i zobaczył wysoko bryzgającą, cuchnącą wodę bagienną.

— Przenajświętsza Matko, pomóż mi! — modlił się Majer. — Uchroń mnie od śmierci w tym strasznym bagnisku!

Była to pierwsza modlitwa jego od lat wielu, ale bieda uczy się modlić!

ROZDZIAŁ CXXVI.

Opuszczona sierota

Po owej gwałtownej scenie między panią a panem Hai nastąpiła głęboka cisza... cisza po burzy.

Nie pomogły zapewnienia aptekarza o swej niewinności, gdyż żona jego nie wierzyła mu. Sam anioł zstępujący z nieba i ręczący za wierność małżeńską pana Haia, nie byłby w stanie przekonać rozgniewanej i obrażonej kobiety.

Było to dla pana Haia szczęściem, że miał duży dom i że do stołu jego zasiadało zawsze dużo osób, bo inaczej jego połowica dokuczałaby mu przy każdym jedzeniu. W obecności zaś wszystkich domowników musiała sobie zadawać przymus i połykać gorzkie słowa, nasuwające się jej na usta.

Całą swą złość za to wywierała na Idzie, którą maltretowała w nieludzki sposób. Od dawna już ją nienawidziła, ale kryła się z tym, od kiedy Teobald oświadczył, że ożeni się albo z Idą, albo z żadną inną.

Mimo to jednak patrzała na nią niechętnym okiem i kipiała ze złości, gdy widziała, że Teobald obrzuca Idę miłosnymi spojrzeniami.

Na nią nikt nigdy tak nie patrzył! Hai ożenił się z nią bez iskry sympatii i tylko w nadziei, że weźmie z nią duży posag.

Umiała bowiem wmówić w niego, że jest posażną panną. Dopiero po weselu zrobił Hai niemiłe odkrycie, że małżonka jego nic mu więcej nie wniosła, prócz skromnej wyprawy. Chciał się buntować, ale musiał jednak poddać się swemu losowi bez szemrania i nadrabiać miną.

Mała pensja prowizora nie wystarczała jednak na pokrycie wydatków, jakie pociąga za sobą prowadzenie gospodarstwa i dlatego zaczęła pani Selma wynajmować swoje trzy gustownie umeblowane pokoje, zostawiwszy dla swego użytku tylko jeden pokój z kuchenką.

Przez długie lata żyli bardzo skromnie. Pan Hai pracował jako prowizor w aptece pod „Złotym Aniołem“, a żona jego wynajmowała pokoje i wychowywała Teobalda.

Wszyscy mieli pana Haia za biedaka, dopóki nie sprawił im pewnego dnia ogromnej niespodzianki, nabywając aptekę pod „Złotym Aniołem“, za którą zapłacił gotówką.

W jaki sposób Hai zdobył tyle pieniędzy, wiemy już z poprzednich rozdziałów.

Nowi właściciele apteki żyli odtąd w dostatku i starali się być w oczach ludzi jak najwięcej przykładnymi.

Było to jednak pozorne, gdyż w sercach tych dwojga ludzi mieściło się dużo zła.

I teraz pani Hai zazdrościła ogromnie Idzie, że robi tak świetną partię.

Myślała zawsze, że Teobald ożeni się z jakąś bogatą córką chłopa, albo rzeźnika, która mu przynajmniej z pół miliona wniesie w dom, a tymczasem jej syn chce żenić się z ubogą dziewczyną bez grosza posagu.

I gdyby ona umiała przynajmniej ocenić to wielkie szczęście, które ją spotyka. Gdyby patrzała z miłością i uwielbieniem na Teobalda i całowała z wdzięczności jej suche, kościste łapy, możeby ją to jeszcze rozbroiło.

Ale Ida chodziła ciągle smutna, blada i zamyślona, miała wciąż czerwone od płaczu oczy i unikała Teobalda, jak tylko mogła. Co więcej, nie mogła znieść jego pieszczot, a w końcu oświadczyła, że za niego nie wyjdzie.

To ostatnie doprowadziło panią Hai do okropnej wściekłości.

— Co ty sobie myślisz, nędzna żebraczko! — krzyczała — mój Teobald nie jest ci dość dobry? Tyś go nie warta, głupia gąsko! Wiem ja dobrze, kto ci w głowie siedzi! Ten bogaty Francuz, którego z ulicy w dom mój wciągnęłam, utkwił ci w sercu, ale ją ci go już wypędzę z myśli.

(Ciąg dalszy na str. 457).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

Z CAŁEGO SERCA DZIĘKUJĘ

W dniu moich imienin (15 maja) z całej Polski popłynęły do mnie szeroką falą życzenia od Sympatyków „Krainy". Wzruszyły mnie one głęboko, gdyż wszystkie były ciepłe, jak promienie wiosennego słońca i nacechowane prawdziwą życzliwością i sympatią. Z całego serca za nie dziękuję i ściskam serdecznie dłonie wszystkim tym, którzy o mnie pamiętali.

Zofia.

SZARĄ GODZINĄ

Zda mi się ,że wieki na swych barkach dźwigam
W tym różańcu życia, ziarna, są to chwile,
Za którymi tęsknię i przed czym się wzdrygam,
Krążą, jak złe ptaki lub barwne motyle.

Wszak nic we Wszechświecie nie mija bez echa,
Dobro we Wszechświecie bezpłodnie nie ginie
Za łzy — później życie do nas się uśmiecha,
Za ból — przyjdzie szczęście o szarej godzinie.

Bo szczęście jest wszędzie i w uśmiechu matki
I w gnieździe piskląt, w pośród leśnej głuszy,
I w kwietnym sadzie ubożuchnej chatki,
W promyku słońca, kiedy łzy osuszy —
Lecz spokój szczęścia, tylko w własnej duszy...

Maria Osten.

„MIESZKAŃCY LASU — NAPISZCIE DO MNIE!"

„Mała Konwalijka". Wszystkie Twoje prośby, „Konwalijko", zostały spełnione. Obecnie, razem z Tobą, czekam na rezultat ogłoszenia, które ukazało się w numerze 10 „Mojej Przyjaciółki".

Żal Twój za K. rozumiem dobrze. To przykro rozstawać się z czymś, co się pokochało młodą duszą i do czego się mocno przywiązało. Ale — możesz przecież znaleźć znowu jakąś miejscowość, która potrafi Ci zastąpić K. Nie martw się więc, nie smuć i z wiarą popatrz w przyszłość. Pozdrawiam Cię serdecznie, Maleńka i niżej zamieszczam kilka Twoich słów:

„Czarny Hajduczku", całuję Cię i trochę zazdroszczę tych rannych spacerów na „Czarnusiu".

„Maruto", jak najchętniej zgadzam się na wymienioną przez Ciebie w liście pielgrzymkę. „Biała Uajali", dziękuję Ci z całego serca za cudny wierszyk imieninowy.

„Konwalię", „Przedwiośnie", „Marikę" „Kochanie" i „Ali — Alu" — serdecznie pozdrawiam.

Na zakończenie proszę wszystkich mieszkańców lasu o miłe listy, przepojone zapachem sosen leśnych kwiatów i traw".

RADOŚĆ Z LISTU

„Królewna Bałtyku". Wujek Janusz, któremu powtórzyłam słodką tajemnicę, wyszeptaną mi na ucho, rozpromienił się z radości, jak słońce. Czuję, że byłby rad odebrać kilka słów do Pani...

Podobnie, jak Wujek Janusz, ucieszyłam się i ja kochanymi słowami Pani. A najwięcej tym, że jest Pani dobra i pragnie, aby:

...,wszyscy, wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi, aby nie było na świecie zła i smutku..."

Mocno ściskam rączęta i na zakończenie coś od Pani:

„Dla „Bursztynowego Serduszka", „Słodkiej Danusi", „Steni z pod Ina", „Wilka Morskiego", „Stefka z Gdyni" i „Rudiego 220 — 380" — zasyłam wiosenny uśmiech."

„OCZEKUJEMY WESOŁYCH I MOROWYCH LISTÓW!!!"

„Jagódka II.", *„Lusieńka"* i *„Roześmiany Hajduszek"*. Zdjęcie „Jagódki II.", jest miłe, ale niewyraźne. Z tego też powodu nie zamieszczam je, tylko czekam na inną fotografię, na której chętnie zobaczyłabym całą roześmianą trójkę.

Wymieniony przez Panie pseudonim nie zgadza się z nazwiskiem.

A teraz, ponieważ Panie nie odebrały jeszcze od nikogo listu, przypuszczam szturm do Sympatyków „Krainy" w postaci poniższych „komunikatów":

„Halo! Mieszkańcy Szamotuł i okolic! Napiszcie do nas, gdyż mieszkamy także pod Szamotułami. „Podszamotulanko", może się znamy?

„Morowa Dziewczynko", „Cyganko o smętnych oczach", „Szara falo" i „Smutna Pszczółko" — prosimy o jakiś znak! Tak samo „Dida", „Miluś II.", „Myśliwego" i „Człowieka z ludu".

Oczekujemy wesołych i morowych listów!"

BĄDŹMY POGODNI!...

„Barcia". Nie odgadła Pani mego nazwiska, „Barciu", ale jestem przekonana, że po tym

Bezpośredni liścik Pani ujął mnie ogromnie. tą zagadkę. Czekam na potwierdzenie! oświadczeniu już szybko rozwiąże Pani upar-Ileż spokoju i słońca w każdym zdaniu!

.... jestem zadowoloną z tego, co mi Bóg dał... Wszystko mnie cieszy... Codziennie rano wybiegam do ogrodu zobaczyć, co nowego urosło i później radować się każdym listeczkiem i każdą trawką..."

Zaiste, niecodzienna pogoda duszy, warta naśladowania! Gdyby każdy chciał się tak mocno radować maleńką radością, jak mocno potrafi więcej szczęścia byłoby na świecie! O ile więprzejmować się drobnym smuteczkiem, o ile cej byłoby istot, podobnych do zadowolonej z życia i zawsze uśmiechniętej pogodnie „Barci"!...

„KTO NAPISZE DO MNIE PIERWSZY?"

P. Helena J. z R. Zainteresowała mnie Pani, P. Helu. Tym więcej, że w wierszykach Pani znalazłam coś, co się nazywa iskrą Bożą. Proszę pisać jak najwięcej i utwory przesyłać na moje, lub Wujka Janusza ręce, abyśmy mogli śledzić rozwój zdolności Pani i ewentualnie zamieszczać wszystkie dobre utwory.

Do „Krainy" oczywiście przyjmuję Panią i zamieszczam fragment listu Pani, abyśmy wszyscy mogli Panią poznać bliżej i darzyć Ją sympatią.

„Mieszkaliśmy w Łodzi. Tatuś miał tam posadę. Obecnie, od czasu przejścia ojca na emeryturę, przebywamy na wsi. Mam lat 20 i trudno mi się pogodzić z jednostajnym życiem wsi. Och, gdyby to była wieś, ale to pustkowie! Niegdyś był tu młyn, teraz straszna pustka, miejsce to można teraz nazwać raczej „zaklętym młynem". Obok naszego domku płynie rzeka, a nad nią dużo starych olch i wierzb... Latem jest tu bardzo miło, ale zima?...

Chciałabym wymieniać swoje myśli z Czytelnikami „Moich Powieści". Kto napisze do mnie pierwszy?..."

PRZYŚLIJ ŚMIAŁO...

„Stokrotka". Kochana „Stokrotko", fotografia Twoja sprawi mi tylko radość, dla tego przysyłaj ją śmiało. Życzę Ci, Kochanie, jak największego zadowolenia z wakacyj i proszę, napisz do mnie znowu.

NIE DZIWIĘ SIĘ...

„Kaśka". W liście swym przesłała mi Pani próbkę ludzkiej złośliwości i małostkowości. Nie dziwię się, że pragnie Pani samotności i zupełnego odseparowania się od ludzi. Po takiej „gorzkiej pigułce" trudno pójść znowu do ludzi z szeroko otwartym sercem i z zaufaniem — rozumiem, ale też nie potrzeba znowu myśleć intensywnie o samotnej „oazie na pustyni"... Po co?! Najlepiej Pani zrobi, gdy pozostanie nadal w dotychczasowym środowisku i zachowa jak najdalej idącą ostrożność, nauczona przykrym doświadczeniem, że nie można szeroko otwierać swego serca przed każdym zaufaniem można obdarzać tylko tych, którzy zasługują na to. O tym niech Pani pamięta, „Kaśko" i jeżeli zapragnie kiedyś czyichś życzliwych lub przyjaznych słów, niech Pani napisze do mnie. Na pewno Pani nie zawiodę! Ślę mocny, siostrzany uścisk dłoni!

DLA CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW PO 30-STCE

„Staszka". Listy Pani są coraz częstsze i coraz serdeczniejsze. Cieszy mnie to bardzo i pragnę, aby zacieśniający się pomiędzy nami kontakt korespondencyjny nie rozluźnił się. P. postara się o to, dobrze? Proszę przyjąć ode mnie moc pozdrowień.

Z listu „Staszki":

„Wierna Czytelniczko", czy jesteś jeszcze wierną „Moim Powieściom"? Odezwij się znowu w „Krainie", a może napiszesz do mnie?

„Stelisie", co porabiasz? Daj jakiś znak!

Czytelniczki i Czytelnicy po 30-stce! Kto z Was ma ochotę ze mną podyskutować? Piszcie, odpowiem chętnie!

Rysopis mój: wzrost wysoki, włosy czarne, usposobienie — wszystko na wesoło, bo śmiech to zdrowie".

„NAJCHĘTNIEJ"...

„Samotna Helunia". Mam wrażenie, że po ukazaniu się Pani apelu, skończy się samotność Pani. Będę bardzo zadowolona, jeżeli tak rzeczywiście będzie. Listy, o ile jakieś nadejdą — przekaże Pani natychmiast. Łączę miły uścisk dłoni!

„Od kilku dni przebywam w Żninie. Spędzam tutaj wakacje i trochę nudzę się, bo nie znam w Żninie nikogo. Może napisze ktoś do mnie? Chciałabym listami urozmaicić sobie samotność. Najchętniej odbiorę listy od Czytelników „Moich Powieści" z Gniezna lub Żnina. Czekam, pełna nadziei..."

CZYŻBY?...

„Przyćmiona Gwiazdeczka". List Pani otrzymałam i odpowiedź na niego już dawałam — czyżby ją Pani przeoczyła? Nadesłane na pocztówce pozdrowienia zamieszczam:

„Panu Franciszkowi, studentowi z Wrześni, zamieszkałemu u pp. burmistrzów — przesyłam pozdrowienia i proszę o liścik — T. S. z M.

DZIĘKUJĘ!

„Fleur". Dziękuję Panu za list z dnia 5. 5. br. Znalazłam w nim dużo ciekawych spostrzeżeń, które mi dały pole do przemyśliwań. Zamieniam z Panem serdeczny uścisk dłoni i na zakończenie komunikuję, że sprawy administracyjne poleciłam załatwić.

DESZCZ

Otwieram szeroko me okno
Na ogród, pachnący wiosną.
Deszcz pada... Kasztany mokną,
(Tuż pod oknem moim rosną...)
Ogród się sennie kołysze,
Deszcz liściom baśni swe plecie
I wszystko zamiera w ciszę,
Ciszę nieznaną na świecie.
Drobniutkie deszczu kropelki,
Szeleszcząc, spadając w liście,
Szemrzą poemat swój wielki,
Wróżą mi dziś czyjeś przyjście.
Przymykam lekko powieki —
Wsłuchana w tę wielką ciszę
Marzę, że może daleki
Odgłos twych kroków posłyszę.
Deszcz sennie gamy wygrywa,
Mrok siatką mój ogród mota,
A serce biedne rozrywa
Bezbrzeżna, cicha tęsknota.
Zamykam cicho me okno —
W ogrodzie, w deszczu drżą liście,
Kasztany za oknem mokną —
Nie czekam na żadne przyjście...

Zofia Olechowska.

CZY ZNAJDĄ SIĘ CHĘTNI?

„Wesoły Cowboy“ po kilku tygodniach milczenia znowu się odezwał.

„Od czasu, kiedy wstąpiłem w szeregi Sympatyków „Krainy“ — pisze — stałem się wesoły i szczęśliwy. Korespondencja wypełnia mi wszystkie wolne chwile i urozmaica życie. Chciałbym podyskutować skimś na temat: „Życie człowieka“. Kto napisze pierwszy“?

Myślę, że chętnych znajdzie się dużo, więc życzę Panu naprawdę przyjemnej dyskusji. Jeżeli Pan będzie przejeżdżał przez Żnin, proszę nie zapomnieć o naszej redakcji. Łączę moc serdeczności.

NA KAŻDY LIST — SZCZERA ODPOWIEDŹ

„Kolorowy Motyl“. Oddaną i wierną Czytelniczkę „Moich Powieści“, którą jest Pani, jak wnioskuję z listu, przyjmuję do „Krainy“ jak najserdeczniej. Pragnę, aby było Pani wśród nas dobrze i aby Pani uważała nas za przyjaciół.

Sympatykom o Pani mogę powiedzieć tylko tyle, że każdy list przyjmie Pani miło i szczerze na niego odpowie. I, że pozdrawia Pani „Irkę z Torunia“ i „Ali — Alu“.

PIESZCZOTA

Jakby anielskich skrzydeł pieszczotą,
Dotknąć błękitnej toni przezroczy,
Tak cię całuję, o moje złoto,
W zamknięte oczy...

A jako barwny motyl w przelocie,
Popieści różę, kwiatów królową,
Tak cię całuję, o mój klejnocie,
W schyloną głowę...

I jako słońca jasne promienie,
Muśną niw zieleń i łąk kobierce,
Tak cię całuję, moje natchnienie,
W przesmutne serce...

M. v. W. Sendlerowa.

ROZUMIEM

„Samotny Agronom“. Życzeniu Pana stało się zadość. Pisze Pan, że ograniczył Pan korespondencję do minimum z powodu braku czasu. — Rozumiem, pora obecna to pora najintensywniejszej pracy na wsi, dla tego też nie mam żalu, że Pan nie pisze. Wystarczy mi, że zachowuje Pan o nas pamięć i z takim umiłowaniem czyta nadal „Moje Powieści“.

S.O.S. Z ZAPADŁEJ WIOSKI

„Łobuz z Orchowa“. Sympatyczny apel Pana zamieszczam, życzę obfitej korespondencji i jak najlepszego samopoczucia w „Krainie“. —

„Apel mój o listy płynie z daleka, z stron, gdzie świat jest zabity deskami. Desek wprawdzie nie widać, ale jest tu koniec. Czego? — Mój! Bo jest mi coraz smutniej na duszy, widząc wszędzie pustkę. Otrzymałem tutaj posadę i muszę wegetować, pozbawiony kulturalnych rozrywek i towarzystwa. Piszcie więc do mnie, bo jestem spragniony wszelkich wiadomości, bo pragnę znaleźć „takie coś miłego“, co będzie potrafiło zawojować moje serce“.

PRZYJĘŁAM DO WIADOMOŚCI

„Basia“. Bilecik otrzymałam i treść jego przyjęłam do wiadomości. Za pozdrowienia dziękuję i cierpliwie czekam na zapowiedzianą przesyłkę. Łączę miły uścisk dłoni.

SERDECZNE POZDROWIENIA

„Dziewczę z Kujaw“ przesyła „Szarej Dziewczynce“, „Dziewczęciu z dalekiej Ojczyzny“, Pracowitej Mrówce z Kujaw“, P. Helenie Karge z Torunia i „Hen — Se — Czem“ — dużo, dużo serdecznych pozdrowień.

LIST PRZYSZEDŁ W PORĘ

„Blanka“. Istotnie — dawno Pani do mnie nie pisała! Już nawet chciałam się trochę obrazić, że Wujek Janusz, jest więcej faworyzowany ode mnie, gdy naraz dostałam od Pani list. I w dodatku taki miły i obszerny! Dziękuję za niego i po staremu uśmiecham się do Pani serdecznie.

Na zakończenie mocno ściskam Pani rączęta i zdradzam na uszko, że gorące życzenie „Blanki“ prawdopodobnie spełni się.

JAKI JEST POWÓD MILCZENIA?

„Jaś — Sokół“ pozdrawia serdecznie „Lunię“, „Izę“ i „Eluśkę“. „Urszulkę z pod Grudziądza zapytuje o powód milczenia.

NIESTETY!

„Irka — Wielkopolanka“. Niestety, list Pani za późno dostał się do moich rąk. Czy bardzo to Panią zmartwiło?...

OTRZYMAŁAM

„Jasnowłosa Cyra“. Pozdrowienia z Bnina — otrzymałam! Dziękuję i również pozdrawiam!

LIST Z DALEKICH KRESÓW POLSKI

„Ilka“ i „Raula“. Z dalekich Kresów Polski otrzymałam następujący list:

„Jest nas dwie. Starsza „Irka“ i młodsza „Raula“. Mieszkamy w małym miasteczku kresowym i nieraz nudzimy się. Nic dziwnego! Brak nam bowiem odpowiedniego towarzystwa, książek i jakichkolwiek innych kulturalnych rozrywek. Jak zbawienie powitałyśmy „Moje Powieści“. Może i nam przyniesie korespondencja trochę odmiany w życiu, więc prosimy gorąco o listy.

Jesteśmy miłymi osóbkami, posiadamy piękne, niebieskie oczy i bardzo pogodne usposobienia“.

APEL DO PAŃ Z NAD MORZA I GÓR

„Młody Orzeł“. Wyjeżdża Pan nad morze, a następnie w góry? Wyobrażam sobie ile Pan zbierze bogatych wrażeń! Życzę wszystkiego najlepszego i proszę, bardzo proszę o maleńkie „sprawozdanie“ z wakacyj już po powrocie do Poznania. Czekam na zapowiedziany list i pozdrawiam!

„Młody Orzeł“ przesyła i kilka słów Sympatykom:

„Halo! Miłe Panie z nad morza i spod dalekich gór! W czerwcu wybieram się nad morze do Rozewia, a w lipcu będę w górach, w okolicy Wisły i Ustronia. Może któraś z Sympatyczek, z tamtych stron nawiąże ze mną korespondencję?...

Przesyłam pozdrowienia „Milutkiej Lenie“, „Mice — milutkiemu urwisowi“ i „Armidzie“.

Teczka Wujka Janusza

RADBYM...

„Biała Uajali“. Powrót Pani witam z radością. Wierszyki miłe, ale smutne i pełne tęsknoty. Czy ich Autorka straciła znowu ów promyk szczęścia, który dla Niej zaświecił przed paru miesiącami? Radbym się wszystkiego dowiedzieć! Na dowidzenia“ ściskam Pani serdecznie ręce i po staremu zachęcam Panią do pogodniejszego spojrzenia na świat — chociaż przez szare, gęste dymy Łodzi.

O dopisku Pani nie zapominam:

„Wszystkim miłym Paniom i Panom z Krainy“ którzy przesłali mi pozdrowienia — serdecznie i gorąco dziękuję. Co do próśb o nawiązanie korespondencji, to wyjaśniam, że nie czynię im zadość z tego powodu, że nie starczyłoby mi czasu na napisanie tylu listów.

P. M. Grzegorskiemu za uznanie — dziękuję!

Tak chętnie chciałabym otrzymać kilka słów od „Kochania“ i „Przedwiośnia“.

„Dumko“, czy pozwoli mi Pani napisać do siebie? Czuję, że jesteśmy pokrewnymi duszami.

Mieszkam obecnie w Łodzi i często jestem na przechadzce w Radogoszczu. Chciałabym tam spotkać się kiedyś z przyjaciółmi „Krainy“. W celu skomunikowania się ze mną, podaję mój adres:
Łódź 12, poste — restante, dla „Białej Uajali“.

ZŁOTE DNIE...

Słońce — autorka.

Są czasem w naszym życiu dnie,
Co się nam w duszy słońcem palą
I jako tęcza w urodzie swej —
Płomiennym szczęściem się kryształą!...

I te to, naszych wspomnień dnie,
Dodają siły w ciężkich chwilach,
Bo często smutek nas pochyla.
Bo często w życiu jest nam źle,

Są w naszym życiu złote dnie,
Co się nam szczęściem w sercu palą,
Co są nam nieraz cichym snem
I pięknych marzeń — wonną falą...

„Biała Uajali“.

ZGADZAM SIĘ

„Kochanie“. Wprawdzie z bólem serca, ale zgadzam się na to stanowcze „nie“. Na drugą fotografię czekam niecierpliwie, bo ciekawy jestem, jak wygląda „Kochanie“, gdy się nie uśmiecha i patrzy poważnie na świat.

Załączony liścik przekazałem p. Zofii.

Jak najuprzejmiej dziękuję za piękne zakończenie listu i przesyłam miłe pozdrowienia.

NIE WPŁYNĘŁA

P. J. P. Galów. Nowelka Pana — „W wspólnej mogile“ — wpłynęła do mej „Teczki“. Zatrzymałam ją, aby przy okazji wydrukować. Pozdrawiam!

NOWELKA SŁABA

„Biedronka“. Nowelka o sierotce, która daremnie szukała szczęścia w świecie, zawiera w sobie dużo smutnej, życiowej prawdy, ale poza tym nie posiada nic takiego, co możnaby nazwać wartością literacką. „Biedronka“ musi dużo nad sobą pracować, dużo czytać i studiować, zanim napisze coś dobrego i odpowiedniego do druku. Przesyłam sympatycznej „Biedronce“, która tak ładnie uśmiecha się do mnie na załączonej do listu fotografii, moc pozdrowień.

Raj kobiet

Wyjeżdżamy na wieś



Niepostrzeżenie szybko zbliżył się okres wakacyjny i rozpoczął sezon wyjazdów na wiejskie letniska.

Zmęczone całoroczną pracą w szkole, biurze, czy sklepie, z ulgą opuszczamy szare mury miasta i wynajmujemy sobie, gdzieś na cichej wsi milutki pokoik z ogródkiem i wypoczywamy w całym tego słowa znaczeniu.

Mamy nareszcie wszystko upragnione: świeże powietrze, rozległy widok nieba, dużo zieleni, ciszę i samotność. Nie boli nas głowa o nieprzepisane manuskrypty o niedobór kasowy i niedokładności w książkach buchalteryjnych, nie lękamy się już, że godziny obiadowe przerwie nam jakiś niepożądany gość, nagada nam banalnych słów i zdenerwuje nas tak, że trzeba będzie zażyć „Kogutka", aby „nie pękła głowa". Na wsi nie ma dusznego biura, ani intruzów!...

Radosne ubieramy się w kolorowe „szatki", koniecznie kolorowe, aby nawet powierzchownym wyglądem zbratać się z wiejską przyrodą i wychodzimy do ogrodu i na łąki. Jesteśmy podobne do barwnych pięknych motyli. Nosimy wzorzyste spódniczki. haftowane serdaczki. z cienkich płócien fartuszki i na głowach bajecznie kolorowe chusteczki. względnie twarzowe kapelusiki tyrolskie z piórkami.

Życie jest piękne — tak na kolorowo i po wakacyjnemu. Uśmiechajmy się więc do niego radośnie i gorąco...

Kroje do sukienek, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, można nabyć w cenie 1,90 zł.

M. Z.

Najpiękniejsza historia miłosna

On miał 20 lat, ona — 18. On był malarzem, ona kelnerką w szyneczku. Poznali się i pokochali.

Odrzuciwszy przesądy klasowe malarz postanowił ożenić się z ukochaną.

Ale kelnerka wzbudziła miłość również w sercu innego bywalca szynku. Wzgardzony konkurent poprzysiągł zemstę. Nie cofnął się przed zbrodnią: w przeddzień ślubu oblał twarz biednej dziewczyny kwasem siarczanym. Nieszczęśliwa ofiara zazdrości została strasznie zeszpecona i oślepła.

Spędziła całe pół roku w szpitalu. Wreszcie wróciła do domu.

Narzeczony zapytał jej:

— No więc kiedy się pobierzemy?

Trzeba wyznaczyć datę ślubu.

— Ślubu — powtórzyła zdumiona.

— Chcesz się ze mną żenić?

— Marzę o tym. Nie mogę już dłużej czekać.

— Ależ jestem przecież teraz potwornie brzydka.

— Nic o tym nie wiem od tego samego wieczora, kiedy zdarzyło się to nieszczęście — wykłułem sobie oczy. Pozostałaś dla mnie na zawsze taką, jaka byłaś.

Dziewczyna uwierzyła mu. Rozpłakała się ze wzruszenia. Wkrótce odbył się ich ślub...

Malarz skłamał: nie był ślepy, widział ohydnie zeszpeconą twarz kobiety, z którą związał się na całe życie. Ale nigdy się z tym nie zdradził.

Tę historię opowiedział przed laty Aleksander Dumas na obiedzie u pani de Cholet, na którym naśladując Platona wszyscy biesiadnicy, zobowiązali się mówić wyłącznie o miłości.

Czy przytoczył prawdziwe zdarzenie, czy też bohaterski kochanek zrodził się w jego wyobraźni — nie wiadomo.

W każdym razie pismo francuskie, które przypomniało teraz tę opowieść, słusznie nazwało ją — najpiękniejszą historią miłosną.

Ze świata

Język angielski w radio

W związku z rozwojem radia, zrodził się problem czystości i poprawności języka speakerów radiowych. Zagadnienia te są bardzo trudne do rozwiązania we wszystkich niemal krajach, gdyż zwroty używane przez speakerów dzięki popularności radia, przez speakerów dzięki popularności radia, przenikają do mowy potocznej ogółu. Specjalne trudności miała pod tym względem Anglia, gdzie po wielu uciążliwych badaniach. opracowano specjalny podręcznik zatytułowany „Radiowy język angielski" ustalający wzorową wymowę niektórych wątpliwych słów jak np. nazwy miejscowości, lub też niektórych zwrotów językowych.

W dużo mniejszym zakresie trudności językowe mają i speakerzy Polskiego Radia. Celem oparcia wymowy speakerów o rezultaty badań naukowych nad współczesną polszczyzną, Polskie Radio, zwołało pod przewodnictwem prof. Witolda Doroszewskiego dwa zebrania, na których roztrząsane są wszystkie wątpliwości, jakime się nasuwają przy zapowiadaniu audycyj przez radio. Zebrania takie będą kontynuowane aż do czasu utworzenia specjalnej komisji językowej przez Polskie Radio.

„Króla alimentów" nie wpuszczono do Anglii

Młody milioner amerykański Tomasz Manville jest ogromnie obrażony na Anglię. Trudno mu się dziwić; Władze angielskie nie tylko nie udzieliły mu wizy wjazdowej, lecz ponadto całkiem otwarcie umotywowały odmowę „niskim poziomem moralnym petenta".

Jakie grzechy ma na sumieniu młody pan Tomasz? Nie zabił nikogo, nie popełnił żadnej kradzieży (zresztą nie było to wielką zasługą przy jego majątku) i uważa się za porządnego człowieka. Władze angielskie są innego zdania. Czy mają słuszność? Niech czytelnicy sami osądzą, czy obrażony milioner zasłużył na zniewagę, która go spotkała.

Tomasz Manville, syn „króla azbestowego" który umarł w r. 1925 i pozostawił jemu oraz jego siostrze 20 milionów dolarów, może używać życia. Nie robi też nic innego, a jego największą przyjemnością są przygody miłosne.

Na tym polu tak się odznaczył, że Amerykanie, którzy w braku jednego fabrykują sobie dziesiątki królów, nazwali go „królem alimentów", ponieważ w krótkim czasie zdążył ożenić się i rozwieść cztery razy, przy czym każdy rozwód kosztował go drogo, gdyż sąd skazywał go na płacenie pokaźnych alimentów.

Nie poprzestając na tej zabawie w małżeństwo Tomasz Manville podróżuje po całym świecie w towarzystwie całego sztabu jasnowłosych „sekretarek" (Woli blondynki). Niekiedy ma ich aż sześć jednocześnie, w okresach „pokuty" zadawala się czterema.

Wybierając się do Anglii na koronację postanowił zabrać z sobą „tylko" dwie sekretarki. Liczył się z purytanizmem angielskim. Ale Anglicy nie potrafili, jak widać, ocenić tego poświęcenia.

Oburzony „król alimentów" klnął teraz na czym świat stoi i zapowiadał, że mimo wszystkich zakazów dostanie się do Anglii. jeżeli nie z „sekretarkami" to przynajmniej sam. Zapewne mówił sobie, że i w Londynie młody milioner (zresztą i stary także), bez trudu znajdzie przystojne „sekretarki".

Eksport żywego towaru na Daleki Wschód

Prasa sowiecka donosi, że do Chabarowska zaczynają już przybywać dziewczęta wysyłane z Rosji Europejskiej na Daleki Wschóed.

Pierwsze dwie grupy, pocohdzące z Leningradu i Niżniego Nowgorodu, przyjął osobiście dowódca armii dalekowschodniej, marszałek Bluecher.

Większość przybyłych ma wyższe wykształcenie (prawne i pedagogiczne). Ale ponadto dziewczęta posiadają zwykle jakiś fach, gdyż przed wstąpieniem na wyższą uczelnię były rzemieślnikami. Niektóre z nich mają dyplomy lotniczek, spadochroniarek, strzelczyń itd.

Dziewczyny otwarcie oświadczyły marszałkowi, że doskonale rozumieją, dlaczego zaproszono je na Daleki Wschód: są tam potrzebne nie tyle jako pracownice ile jako — kandydatki na żony. Ale wiele z nich spłatało władzy figla: nie żywiąc zbytniego zaufania do kawalerów dalekowschodnich przywiozły z sobą narzeczonych z Rosji Europejskiej. Marszałek okazał się pobłażliwym dla tych ostrożnych dziewic i oznajmił, że „jeńcy" się przydadzą. Co więcej, pozwolił, żeby mu ich przedstawiono. „Jeńców" towarzyszącym pierwszym „amazonkom" było dziewięciu.

Sprowadzonym dziewczynom nie narzuca się rodzaju pracy. Każdej pozostawia się całkowitą wolność decyzji i w tej dziedzinie. Znaczna część zamierza pracować w szkolnictwie lub w prokuraturze.

System zdobywania żony

W miejscowości Sahai, japońskim mieście portowym na wyspie Nippon, znajduje się zakład kąpielowy, który pozornie nie ma w sobie nic nadzwyczajnego i wygląda jak każde inne tego rodzaju przedsiębiorstwo, to też wielkie zdziwienie w całym mieście wywołało, że pewnego dnia przed wejściem do zakładu zebrał się tłum, w którym przeważały kobiety. Przyczyną zbiegowiska była tablica wywieszona przy wejściu do zakładu kąpielowego Na tablicy tej było napisane:

„Chciałbym się ożenić. Poszukuję młodej panny, która by mogła wykazać się następującymi zaletami: 1. pochodzenie z dobrej rodziny, zdrowie i wysoki wzrost, 2. wesołe usposobienie, 3. pracowitość i energia, 4. muzykalność i umiejętność gry na jakimkolwiek instrumencie.

Każda z panien, która przeczyta tę tablicę, uważa że odpowiada powyższym warunkom, niech wejdzie, aby ze mną osobiście pomówić. Jestem mężczyzną

zdrowym, przystojnym, zamożnym i moją własnością jest zakład kąpielowy, na którym wisi ta tablica.

Przed drzwiami do zakładu kąpielowego zapanował taki ścisk, że miejscowa policja musiała wystawić specjalny posterunek przestrzegający porządku. Zbiegowisko trwało bardzo krótko, ponieważ oryginalny amator małżeństwa zdecydował się bardzo prędko i już czwartą pannę, która skorzystała z zaproszenia, wybrał na małżonkę.

ALFRED LORD TENNYSON.

Szarza lekkiej brygady

(NOWELA).

(Osnute na tle filmu o podobnym tytule).

ROZDZIAŁ I.

W audiencjonalnej sali pałacu, na wielkiej otomanie, obitej jedwabiem, ze srkzyżowanymi nogami, jak posążek Buddy, siedział Chan Suratu, Emir Suristanu. Spojrzenie jego biegło ku grupie angielskich oficerów, którzy właśnie ukazali się w otwartych drzwiach i wolnym krokiem przemierzali salę. Na twarzy Emira zalśnił uprzejmy uśmieszek, doskonale maskujący wewnętrzne jego zaniepokojenie na widok tych czterech mężczyzn w błękitnych uniformach. Z rozjaśnionych oczu nie można było wyczytać myśli — drażniącej myśli o tym, że przecież ci oficerowie przybyli tylko po to, aby mu zakomunikować: oto rząd brytyjski nie zamierza ci nadal płacić corocznej łapówki w wysokości stu pięćdziesięciu funtów szterlingów, gdyż regulujący tę sprawę traktat wygasł z chwilą śmierci twojego ojca.

Oficerowie nie uśmiechali się. Z uczuciem przygnębienia zbliżali się ku otomanie: przytłaczał ich ten wspaniały pałac, zgrzytała im w uszach dzika muzyka, w takt której kilka wschodnich dziewcząt wiło się tanecznie przed obliczem władcy. Nawet Sir Humphrey Harcourt, ambasador królowej, nie mógł opanować niejakiego zdenerwowania. Kapitan Geoffrey Vickers oraz podchorążowie Randall i Pearson, wszyscy trzej z 27-go Pułku Lansjeró.w, byli pod głębokim wrażeniem otaczającego ich obcego przepychu:

Tłumacz Emira przemówił:

„Jego Wysokość Chan Suratu śle dziękczynne modły do nieba z powodu szczęśliwego przebiegu waszej podróży i stawia domostwo swoje wraz z wszystkim, co ono zawiera, do dyspozycji prześwietnego ambasadora, Jej Królewskiej Mości, Królowej Wiktorii".

Sir Humphrey skłonił się: — „Niechaj wolno mi będzie złożyć gorące pozdrowienia od Jej Królewskiej Mości" — rzekł.

Chan podniósł się z otomany, wykonał wytworne „salaam" zszedł z podwyższenia i wyciągnął przed siebie miecz z inkrustowaną rękojeścią. Sir Humphrey dotknął miecza. Był to wschodni obrządek przyjaźni.

Uśmiech wciąż jeszcze igrał na twarzy Chana. kiedy, znalazłszy się w odosobnionej alkowie, władca wskazał Sir Humphreyowi krzesło. „A więc pertraktacje doprowadziły do pożądanych rezultatów" — rzekł spokojnie.

„Bardzo żałuję" — odparł Sir Humphrey — „pamiętajmy jednak o tym, że traktat, mocą którego ojciec pański otrzymywał coroczne wynagrodzenie wzamian za swe wybitne zasługi dla Imperium Brytyjskiego, poszedł wraz z nim do grobu".

Chan podniósł brwi: „Co do mnie" — rzekł — „postaram się w cichości i pokorze znieść tę niespodziewaną i bezpodstawną odmowę udzielania nam dalszej pomocy. Rzecz jasna, postaram się także przekonać Nawabów i Malików Suristanu, że nie powinni posunięcia rządu brytyjskiego interpretować w sensie nieprzyjaznym, będę też usiłował ułagodzić ich zrozumiały gniew i powstrzymać ich od wszelkich gwałtownych wystąpień, do których mogą czuć się skłonni".

Sir Humphrey odchrząknął: „Ufam, że chwalebne wysiłki Jego Wysokości uwieńczone zostaną pomyślnym wynikiem" — powiedział.

„Zaufanie jest darem bogów. Sir Humphrey" — odrzekł Chan już bez uśmiechu. „Dopiero wtedy umiemy je ocenić, kiedy je tracimy".

Sir Humphrey czuł dziwną lekkość, słuchając głosu pogranicznego watażki. Tak pewny już był skuteczności swego posłannictwa, że nie uchwycił nawet tonu goryczy i nienawiści, którymi Chan zabarwił ostatnie swoje słowa. Wracając do oczekujących go przyjaciół, Sir Humphrey aż kipiał radością.

„Świetny chłop z tego, z tego Chana" — mówił. — „Facet ma pewien wrodzony wdzięk i jakąś subtelną dostojność. Wschodni dżentelmen!"

„Tak jest Sir" — powiedział Geoffrey, ale z tonu jego widać było, że nie całkiem zgadza się z Sir Humphreyem. Zbyt długo żył w północnych Indiach aby wierzyć teraz zapewnieniom byle pogranicznego. kacyka.

ROZDZIAŁ II.

Przy szeroko rozlanym nurcie rzeki, na spalonej słońcem równinie, w Chukoti, jednym z najdalej wysuniętych punktów północnych Indii, stał brytyjski garnizon. Leniwy wiatr bawił się zatkniętym na wieżycze sztandarem 27-go Pułku Lansjerów, Kompania lansjerów pod wodzą kapitana Vickersa przyśpieszyła kroku, zbliżając się do fortu. Zmęczone twarze ludzi rozjaśniły się z uśmiechem na widok szerokich wrót, rozwierających się z trzaskiem. Wjechali na dziedziniec.

„Zsiadać" — zakomenderował Geoffrey, kiedy znaleźli się przy stajniach. Cisnął lejce ordynansowi i szybko przeszedł przez dziedziniec uśmiechając się do tubylczych kobiet i dzieci. grzejących się przed lepiankami. Ale twarz jego przybrała wyraz powagi kiedy wszedł do gabinetu dowódcy i stanął na baczność przy biurku, za którym siedział pułkownik Woodward, dowódca 27 Pułku Lansjerów, starszy mężczyzna o wojskowej postawie.

„Melduję, że eskorta wróciła. Wszyscy zdrowi i cali".

Pułkownik Woodward podniłsł głowę: „Niech pan siada. Proszę mi opowiedzieć o rzeczywistym przebiegu rozmów. Wie pan — nieoficjalnie. Nie od parady spędził pan siedem lat nad granicą, powinien pan znać Chana Suratu i nastroje suristańskich plemion. Czy podziela pan optymizm Sir Humphreya"?

Geoffrey zawahał się. „Szczerze mówiąc nie. Sir Humphrey jest świetnym dyplomatą — nikt nie potrafi jak on podać gorzkiej pigułki w słodkim cieście ... ale..."

Pułkownik Woodward zamyślił się. „Hmm — gdyby Chan chciał zorganizować Suristańczyków w armię, musiałoby to potrwać siedem do ośmiu tygodni".

„Przynajmniej" — rzekł Geofrrey.

Pułkownik Woodward huknął pięścią w stół. „Okropność" !— jęknął.

Geoffrey był zdumiony. „Jakto? Przecież to pozwoli nam doskonale się przygotować!".

„Nam!" — pułkownik Woodward niemal krzyczał. „Nam! Przez dwanaście lat dowodziłem tym pułkiem, musztrowałem ludzi, opiekowałem się nimi uczyłem ich walki. I teraz, kiedy nadarza się okazja pierwszorzędnego bałaganu — właśnie teraz urząd wojskowy przenosi mnie do Kwatery Głównej."

Geoffrey spojrzał na niego ze współczuciem.

„To rzeczywiście smutne" — rzekł.

„Smutne? To jest dla mnie katastrofa, młody człowieku!" — westchnął i ciężko zwiesił głowę. „Ale takie już życie żołnierza". Znowu westchnął i sięgnął po zapisany arkusz papieru. „Aha, Vickers! Rozkazy przyszły podczas pańskiej nieobecności. Pan też jest przeniesiony. Nic, tylko rozpaczać".

„Geoffrey wziął papier z rąk przełożonego. „Dokąd?"

„Zgłosi się pan do Sir Charles'a Macefielda". W głosie Geoffreya brzmiała radość, kiedy zawołał: „Do Kalkuty".

Oczyma duszy oglądał piękną twarz Elzy Campbell — uroczej Szkotki, z którą zaręczył się przed wyjazdem z Anglii. Pamiętał ten wieczór, kiedy spacerowali we dwoje — było to przed zmierzchem — kwitły głogi — zachodnia strona nieba tonęła w powodzi złota — skowronki zrywały się z zielonych jeszcze pól — wbijały się w powietrze — nikły z oczu — i zalewały ziemię promiennie — wdzięcznym śpiewem. Myśl o Elzie z nieprzepartą siłą nasuwała wszystkie te obrazy. I oto Elza czekać będzie na niego w Kalkucie — Elza znów rzuci mu się w ramiona — Elza ustami przylgnie do jego ust — oczy jej piwne zalśnią łzami szczęścia — uradują się wzajemną bliskością zakochanych — choćby ta bliskość miała trwać tylko chwilę.

„Na Boga, co tobie, człowieku?" — zapytał pułkownik Woodward. „Wyglądasz, jakbyś był zadowolony".

„Zadowolony? Sir, jestem szczęśliwy. W Kalkucie mieszka pułkownik Campbell, a ja..."

(Ciąg dalszy nastąpi).

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf krajoznawczy.
pod. D. W.

Należy odgadnąć 10 nazw miast polskich z podanych województw, a litery na miejscach krzyżyków pozwolą odczytać pytanie.

1 . . . . × woj. śląskie
2 . . . . × „ pomorskie
3 . . . . × „ poznańskie
4 . . . . × „ lwowskie
5 . . . . × „ białostockie
6 . . . . × „ białostockie
7 × . . . . „ pomorskie
8 . . . . × „ poznańskie
9 . . . . × „ lubelskie
10 . . . . × „ krakowskie

Bilety wizytowe
pod Witold Mataczyński — Łysinin.

Ola Pront

Hela Turkówska

Eza Kanpo

W jakich miastach polskich mieszkają właścicielki biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 11 czerwca br.

Odpowiedzi redakcji

P. K. J. Kalety. Do prośby Pana odnieśliśmy się jak najżyczliwiej. Za zjednanie nam nowej prenumeratorki — dziękujemy i pozdrawiamy.



Milszym jest powrót z drogi dalekiej,
Jeśli ktoś bliski u wrót na nas czeka...

Ida spuściła głowę na piersi i zarumieniła się po uszy. Nie wypowiedziała jednak ani jednego słowa na swoją obronę i zniosła cierpliwie cały ten potok niesłusznych i obrażających wyrzutów.

Odetchnąwszy nieco, zaczęła pani Hai na nowo swe wywody:

— To jest wdzięczność za to, że wychowywałam cię, jak własne dziecko. Byłam zawsze, jak matka rodzona dla ciebie. Zapomniałaś jednak już zupełnie, że mój mąż jest twym opiekunem i że dlatego musisz się zastosować do jego woli i robić, co on ci każe. Jak ci rozkaże iść za Teobalda, to musisz to posłusznie i bez szemrania uczynić. Nie rób więc żadnych ceregieli, ty ośnico.

— Syn pani dostanie żonę, która będzie lepszą ode mnie — odpowiedziała Ida odważnie. — Utrzymuje pani, że nie jestem go warta, ja myślę to samo. Wyrzuca mi to pani codziennie, że jestem na jej łasce, więc niech mi pani pozwoli abym się mogła postarać o jakąś posadę. W ten sposób zarobię sobie samą na utrzymanie i nie będę więcej nadużywała pańskiej dobroci.

Stanowczość wychowanki odebrała aptekarzowej na chwilę mowę, ale ochłonąwszy, rozkrzyczała się:

— Co, chcesz opuścić nasz dom?! Czekaj, czekaj, ja cię nauczę, ty zła, zepsuta, niewdzięczna istoto, jak należy odpłacać się za dobro!

Z ust jej sypały się obelgi, a skośne kocie oczy błyszczały złośliwie. W niepohamowanej swej wściekłości podniosła rękę i uderzyła Idę silnie w twarz.

— Niech mnie pani nie bije — prosiła biedna dziewczyna, ale rozgniewana kobieta nie zważała na prośby i maltretowała swoją ofiarę tak nielitościwie, że zaczęła jej iść krew z ust.

Ida nie powiedziała ani słowa i zniosła tortury z męczeńskim poddaniem.

Godzina ta zerwała jednak wszystkie węzły wdzięczności łączące jej serce z rodziną Haiów. Postanowiła niezłomnie opuścić potajemnie dom pod „Złotym Aniołem" i szukać gdzieindziej szczęścia.

Pani Hai chciała jeszcze raz podnieść rękę na bezbronną swą ofiarę, gdy nagle poczuła, że ją ktoś trzyma za rękę.

Blada ze złości odwróciła się i zobaczyła swojego syna.

— Co mama robi? — zapytał Teobald ostro, a potem zawołał przerażony:

— Co ci się stało, moja najukochańsza Ido? Skąd ta krew?

— Nic jej się nie stało — mruknęła Haiowa — zamknęłam jej tylko gadatliwą buzię, przy czym mój pierścień dotknął się jej ust i zaraz polała się krew, jak gdyby mnie na złość.

— Moja słodka laleczko — przemawiał słodko Teobald — mama jest niedobrą osobą, ale jak cię jeszcze kiedy dotknie, to cię zabiorę stąd i oddam gdzieś na pensję. Widzisz kochanie, gdybyśmy byli już małżeństwem, nie doszło by do tego wszystkiego. Wyjdź za mnie, a skończy się twoja nędza.

— Nigdy, przenigdy! — zawołała Ida rozpaczliwie — przysięgam, że nigdy nie będę twoją żoną.



23-letnia Amerykanka Franciszka Wood, pomimo, że jest głuchoniemą od urodzenia i nigdy nie słyszała muzyki, dzięki wyjątkowej intuicji rytmu występując jako tancerka kabaretowa i zdobyła nawet pierwszą nagrodę na konkursie tanecznym.

Teobald zbladł i zagryzł usta.

— To są skutki brutalnego obchodzenia się z nią! — rzekł ostro do matki. — Gdyby się mama nie wtrącała do nas, byłbym już dawno po ślubie, ale mama mi zawsze psuła szyki.

— Rzecz przedstawia się zupełnie inaczej — odrzekła pani Hai szyderczo — byłbyś już dawno u celu, gdybyś sprawę swego małżeństwa mnie pozostawił. Nie masz najmniejszego pojęcia, jak się z taką gęsią obchodzić, ja jednak poskromnię tego uparciucha. Zaręczam ci, Teobaldzie, że za trzy dni będzie ona potulna i miękka, jak baranek i będzie Panu Bogu dziękowała, że ją zechcesz.

— Marsz do pokoju! — huknęła na Idę, która wyszła milcząc.

Po jej odejściu rzekł Teobald:

— Niech mama nie zapomina, że nie wolno posuwać się za daleko. Takim niegodziwym i aroganckim postępowaniem doprowadzi mama Idę tylko do ostateczności.

— Wiem sama najlepiej, co mi czynić wypada, a co nie — ofuknęła go pani aptekarzowa — nie potrzebuję od nikogo dobrych rad, a najmniej jeszcze od syna.

— Cóż więc z nią zamierzasz zrobić? — zapytał Teobald niezadowolony.

— Chcę ją nauczyć rozumu — odpowiedziała nielitościwa aptekarzowa — a jakimi środkami, to już moja rzecz.

— Więc zostawiam mamie wolną rękę — rzekł czuły synalek — ale w takim razie bierze mama całą odpowiedzialność na siebie.

— Zgoda! — odpowiedziała pani Hai skwapliwie i wyszła z pokoju.

Teobald spojrzał za nią ponurym wzrokiem, a gdy usłyszał jej krzyki, dochodzące z kuchni, wziął kapelusz i wyszedł.

Tymczasem pani Hai zamknęła Idę w jej pokoiku i postanowiła więzić ją tam przez cały dzień bez jakiegokolwiek posiłku.

— Gdzie jest panienka? — zapytała Hania, gdy zobaczyła, że Ida nie siedzi przy stole podczas obiadu.

— Wyszła na przechadzkę! — odparła pani Hai ze złośliwym uśmiechem.

— Widziałam, że panicz wyszedł bez panienki — rzekła Hania.

— A ty myślisz, że panienka nie może iść sama na przechadzkę — szydziła pani Hai — ma, ona chwała Bogu zdrowe nogi i nie potrzebuje być prowadzoną jak chora staruszka.

Hania natychmiast umilkła, ale zaczęła nad tym przemyślać.

Minęło popołudnie i nadszedł wieczór, a Idy jak nie było, tak nie było.

Obu służącym sprawa ta zaczęła się wydawać mocno podejrzaną.

— Czy słyszałaś dziś rano te krzyki, które stara czarownica wyprawiała z panienką! — spytała Terenia Hanię.

— Jak można było niesłyszeć tych piekielnych wrzasków? Toć to głuchy byłby je usłyszał! — odparła zapytana.

— Od tego czasu nie widziałam więcej panienki. Gdzie ona może być? — spytała znów Terenia.

— Wiesz co? Pobiegnę do pokoiku panienki i zobaczę, czy jej nowa suknia wisi w szafie! — rzekła Hania. — Jak suknia będzie wisiała na miejscu, to stara skłamała.

— Idź, idź i zobacz — zachęcała ją Terenia i Hania pobiegła cichutko po schodach do pokoiku Idy i położyła ostrożnie rękę na klamkę.

Ale drzwi nie otworzyły się, bo były zamknięte na klucz.

— Kto tam? — spytała Ida cichym głosem.

— To ja, panienko — odpowiedziała służąca cicho.

— Kochana Haneczko, otwórz mi drzwi — błagała Ida. — Jestem tutaj zamknięta od rana. Wypuść mnie. Nie wytrzymam tu dłużej!

— Ależ to haniebne! — krzyknęła Hania oburzona — panienka musi być zapewnie głodna i zmarznięta! Ale jakże tu otworzyć drzwi, kiedy stara wiedźma zabrała klucz.

— Klucz od strychu też otwiera moje drzwi — szepnęła biedna, umęczona dziewczyna. — Miałaś dziś zdejmować bieliznę, więc pewno klucz jeszcze masz.

— Tak, tak! Mam go! — zawołała Hania uradowana. — Zaraz uwolnię panienkę!

Pobiegła prędko do kuchni i opowiedziała szybko Tereni, co się stało.

— A to stara czarownica! — oburzyła się Terenia, zaciskając pięście. — Chciałabym jej się kiedyś za wszystko odpłacić. Ja będąc na miejscu panienki, to bym poszła stąd, gdzie by mnie nogi poniosły!

— Myślę, że i panienka to zrobi! — rzekła Hana. — To tylko złe, że nie ma ona pieniędzy, bo stara nie daje jej ani grosza do dyspozycji.

— Ja mam całego majątku dziesięć złotych!

Woreczek ten wsunęła Hani w rękę i szepnęła:

— Daj jej to i kłaniaj się ode mnie! Nie możemy obie pójść na górę, bo stara wiedźma mogłaby w naszej nieobecności zadzwonić, a wtedy biada nam, gdyby któraś z nas nie przybiegła w porę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

12

Sen o zemście

Obietnica ta, to już było więcej, niż obietnica nawet samego pana stolnika litewskiego, bo już takie były nastały porządki w Polsce, iż obcy agent więcej ważył i większy miał głos, niż minister najjaśniejszej Rzeczypospolitej, która we własnym swoim domu nie była już panią, ale zdawała się niejako do czasu tylko kątem w nim mieszkać.

Aliści nagle, niby grom z jasnego i pogodnego nieba, spadła straszliwa wieść, przyniesiona z Wilna.

Trybunał tamtejszy skazał grafa Strutyńskiego na infamię, ścięcie mieczem wysoką grzywnę i konfiskatę majętności.

A tuż za nią druga:

Ciechanowieccy ogniem i mieczem niszczą majętności starosty szakinowskiego, grafa Strutyńskiego.

Madame Hedwige wydało się, że nagle strop niebieski na głowę jej runął, że wszystko się wali, wszystko do góry nogami wywraca.

Mógł wprawdzie graf Strutyński, mimo infamii, kary śmierci i kar dodatkowych, śmiać się z wyroku trybunału wileńskiego, mając takich możnych protektorów, jak ambasador carycy i Familia, ale tu nie o to chodziło.

Z wściekłości i gniewu madame Hedwige od zmysłów niemal odchodziła.

Oto znienawidzeni Ciechanowieccy, których najchętniej radaby zobaczyć na marach śmiertelnych, znowu byli na wierzchu, znowu ich pomsta ścigała Strutyńskiego.

Wyrok trybunału wileńskiego zrobił na grafie wprost wstrząsające wrażenie, postarzył go o kilka lat conajmniej. Mimo wszelkie protekcje, mimo możną opiekę, był to, bądź co bądź, wyrok, mający jeszcze moc w niezależnej i wolnej Rzeczypospolitej, a przy tym, panowie białoruscy bez ochyby postarają się, aby wyrok ten został wykonany, albo sami wykonają go na własną rękę.

Widmo katowskiego miecza, widmo śmierci niesławnej zawisło nad grafem Strutyńskim.

Pani Jadwiga na pierwszą wiadomość o wyroku wileńskim, wierzyć nie chciała, iżby to prawdą było, a kiedy wiadomość tą potwierdziła się, kiedy nie mogło już być żadnej wątpliwości co do jej prawdziwości — z wściekłości i gniewu pada zemdlona. Długo trzeźwiono ją, a gdy w końcu przyszła do siebie, kazała natychmiast wieźć się do kochanka. Przybywszy tam, bez słowa padła mu na pierś, wstrząsana jękami wewnętrznego bólu i żalu.

Wzruszył się pan stolnik litewski taką żałością, a hołubiąc ją i pieszcząc, długi czas spędził, nim w końcu ją uspokoił.

— Błagam cię, zaklinam — łkała mu na piersi — broń nas, ratuj... Pamiętaj, iż przyrzekłeś mi zemstę na Ciechanowieckich. Pamiętaj, że miłość moja zwiększy się do ciebie jeszcze, gdy zemstę tę wykonasz. Gdybyś mi królestwo podarował nie uradowałbyś mnie tym więcej, jak wiadomością o zniszczeniu choćby tylko jednego na razie Jana Ciechanowieckiego. Och, widzieć, jak ta głowa nienawistna odpada od tułowia, jak drga konwulsyjnie w koszu, jak bucha z uciętej szyi krew fontanną.



Podczas tegorocznych wyścigów wiosennych w Paryżu zademonstrowano, jak zwykle, pokazy najnowszych mód. Oto dwa bardzo eleganckie modele kostiumów, wyróżniające się z pośród innych toalet pań.

Pan stolik litewski zadrżał. W głosie kochanki brzmiało tyle okrucieństwa, taka przerażająca głębia nienawiści i chciwości zemsty, że uraziło to takiego jak on estetę, zrobiło na nim bardzo przykre, niemal bolesne wrażenie.

Ale już w następnej chwili pani Jadwiga zmieniła wyraz swej twarzy i wyraz całej swej postaci, niby kameleon zmieniający barwę. Stała się znowu urocza, słodka, przytulna, pociągająca i taka nad wszystko kochana, jak przedtem, jak dawniej, jak zawsze...

Więc przygarnął ją do siebie i poziomkowe usta zamknął pocałunkiem słodkim, jak napój bogów.

— Uspokój się — mówił miękko, ciepło — uspokój się, cara mia. Przyrzekłem i dotrzymam słowa. Czegoż jabym dla ciebie nie uczynił.

— Więc zrób to, zrób... jeśli miłujesz mnie prawdziwie — nie zwlócz, bo umrę z czekania i trwogi. On nie może chodzić po tej samej ziemi, po której ja stąpam, mając taką miłość w sercu dla ciebie...

— On? Któż to?

— Jan Ciechanowiecki.

— I jego dosięgnie kara; pomsty grom uderzy w niego wcześniej, nim się spodzieje.

— O, spraw to, spraw, a niewolnicą twoją zostanę, wierną ci, miłującą po grób. Nie zezwól, by istniał ktoś taki, kto mnie ośmiela się znieważać, mnie, twoją miłość...

— Uczynię to.

— Czyż są takie męki, których dość byłoby dla śmiałka, co już nie czynem, ale choćby jeno słowem obraża tę, którą ty miłujesz? Kto mnie obraża — ciebie obraża.

Madame Hedwige rzucała te słowa mściwie, drapieżnie, a taka nienawiść biła z jej głosu i z całej jej postaci, iż panu stolnikowi litewskiemu przyszło na myśl, że tak zapewne powinna wyglądać bogini zemsty. Nie jako czarownica, nie jako furia, jakaś obrzydliwa stara kobieta, ale jak ta — piękna, przerażająco piękna, która pociąga i kusi nawet wtedy, gdy nienawidzi.

Pamiętaj — kończyła urocza Giga — pamiętaj, że nikt nie może być nie ukarany, czyj choćby cień padł kiedykolwiek na mnie. Chcę, by mnie czczono, dlatego, że ja ciebie kocham i ty kochasz mnie, by się mnie bano, by nikt nie ośmielił się nigdy obrazić tej, którą ty kochasz...

— Pamiętam... pamiętam... — odrzekł w zamyśleniu pan stolnik litewski i zadumał się nad dziwnym charakterem kochanki, którą — zdawało mu się — znał, a tym czasem — okazywało się — nie znał wcale.

Ale przyrzeczenia postanowił dotrzymać zarówno z uwagi na kochankę, jak i na własny interes polityczny. Działalność panów białoruskich uderzała gromem w Familię, a Familia, to przecież on sam, jego przyszłe wielkie plany, jego marzenia o tronie warszawskim.

Napierany ze wszystkich stron, bo ze strony kochanki ,swoich przyjaciół politycznych i głównie — ze strony księcia kanclerza — postanowił pan stolnik litewski wysłać panią Ciechanowiecką do Wołczyna z prośbami o pomoc bezpośrednią, a sam rozpoczął działanie na miejscu.

XX

SPISEK

Pochyleni nad stołem trzej panowie białoruscy — Jan, Michał i Stanisław Ciechanowieccy, wpatrywali się w czarne wiersze pisma pana Czartoryskiego.

— I cóż ty na to? — podniósł generał wzrok na Jana.

— Ha — cóż? Przyrzekłem, iż zagwarantuję mu bezpieczeństwo i słowa dotrzymam.

— Ty — tak, boś parol kawalerski dał, ale nas on nie obowiązuje.

— Co chcesz uczynić?

— Wykonać teror wyroku trybunału wileńskiego.

— To hańba dla mnie, jeśli słowa nie dotrzymam.

— Strutyński infamis, skazany na karę miecza, a infamisa każdy ma prawo i obowiązek zabić, gdziekolwiek go spotka.

— Słusznie — poparł brata starosta domawski Michał. — Zabijając infamisa, wykona zabójca tylko nakaz prawa.

— Czekajcie.

Jan ścisnął głowę dłońmi.

— Czekajcie! — powtórzył i zaczął nerwowo chodzić po komnacie. W głowie miał chaos, w sercu żal i nadzieję, która zdawała się obiecywać znowu raj szczęścia. Znowu ta urocza, niewierna wizja zjawiła mu się przed oczyma, znowu rozległ mu się tuż nad uchem

szept, szept z owych jakże dawnych dni, które spędzili razem tu, w tej samej Opsie, niemal że w tej samej komnacie. I ta zjawa zaczęła go kusić, jako to kuszą syreny morskie majtków po morzu żeglujących. Nie miał sił, nie miał mocy oderwać myśli od niej, nakazać sercu milczeć. Nie, to było ponad jego siły. On nie mógł wyrzec się tej niewiernej, chociaż czynił wszystko, aby zniszczyć mosty, które łączyły ich dawniej. On łudził się wciąż, że ona znowu do niego wróci, ta sama, nad miarę sił własnych i mocy serca kochana.

— Czekajcie! — wyrzekł po raz trzeci i zatrzymał się wobec braci, stojących z marsowymi, mściwością nacechowanymi obliczami. — Prawda — zaczął Jan — prawo mamy za sobą, bo mamy wyrok, możemy, zwabiwszy go, zabić nawet. Ale to niegodne nas, Ciechanowieckich. Gdy jeden z nas daje słowo, wszyscy Ciechanowieccy dotrzymać go muszą. Zabraniam i zakazuję napadać na Strutyńskiego. Ma być wolny w ciągu 24 godzin, przez nikogo z nas nienapastowany.

Bracia spojrzeli po sobie wymownymi wzrokami, po czym skłonili głowy na znak zgody. Jan miał słuszność i miał prawo rozkazywać, jako głowa rodu panów białoruskich.

— Twoja wola — wyrzekł generał — my ją uszanujemy, chociaż pragnęliśmy inaczej.

— Wierzcie mi, iż zemsta nasza minąć go nie może, chyba nie byłoby już ni w niebie ni na ziemi sprawiedliwości. Ale teraz, gdy zgodziłem się na spotkanie z tym infamisem i jego córką, gdym dał słowo księciu kanclerzowi — Strutyński i jego córa wolni być mają.

— Będą nimi, jeśli o nas chodzi. Za innych nie ręczym.

— Zatem za tydzień i dwa dni spotkamy się z nimi w Wilnie — rzekł znowu w zamyśleniu Jan. — I ona tam będzie.

— Ty wciąż o niej myślisz, Janie? — spytał Michał.

— Snać muszę, bo ona mi już jakoby w krew weszła, jakoby stała się moją duszą, czy ja zresztą wiem... Jedno wiem, że ją wciąż miłuję, a razem i nienawidzę, i nie wiem, co we mnie przeważa: miłość czy nienawiść? Gdy jej nie widzę i gdy krzywdy nasze wspominam, nienawiść do niej wybucha we mnie płomieniem, ogarnia mnie całego że darłbym jej ciało na strzępy, by się jej męką konania nasycić, krwią jej popularną pragnienie zemsty ukoić... a gdy ją znowu zobaczę... wstaje we mnie owo miłowanie potężne jako krzak gorejący i wtedy biegłbym do niej na kraj świata, przez lądy i morza, w daleki świat, by ją widzieć zawsze, stale, nieodmiennie mieć przy sobie, słuchać jej szeptów, tajonych tęsknot, zapragnień i marzeń, wczuwać się w jej serca bicie, w tętniczą, żywą krew...

Jan zakrył dłońmi oczy i milczał chwilę.

— To jest moje przekleństwo, przekleństwo całego mojego życia, które zawisło nade mną jako bicz boży, jako klątwa straszna i złowroga...

Bracia nie rzekli na to nic, bo i cóż rzec mogli na tę desperację tak okrutną, która i w ich sercach boleśnym echem się ozwała. Uściskali go jeno serdecznie, szczerze, po bratersku i odeszli.

A on został sam ze swoim bólem i wspomnieniami, co go niby żywym ogniem piekły, jak nigdy niezagojone rany doskwierały.

Padł ciężko na krzesło, wsparł czoło na dłoni i płakał długie, nierycerskie godziny...

Tak zastał go wieczór, co zszedł na ziemię cichy, rozśpiewany poszumem wiatru, szeleszczącego w liściach drzew i zmrokiem objął jego skołataną głowę, czarnym welonem otulił całą komnatę i ból jego, słabość tak nierycerską, przed ludźmi ukrył.

W dwa dni później wyjechali bracia do Wilna, gdzie na sali balowej u marszałka Łopacińskiego, miał się Jan spotkać z teściem i żoną.

Zajechali do domu księcia Karola, gdzie polecenie księcia miało stałe dla bie komnaty i pomieszczenie dla służby, koni i wozów.

Jan był smutny, zamyślony, małomówny, tak, że z trudem tylko można było teraz dogadać się z nim na każdy inny temat, prócz Jadwigi i mającego z nią nastąpić spotkania. To też bracia zostawili go w spokoju, nie nagabując. Mieli tu oni zresztą swoje interesy, swoje sprawy, dlatego rzadko nawet bywali w następnych dniach w domu. Jan jakby na to czekał.

Dnia pewnego sprosił do siebie paru przyjaciół najzagorzalszych stronników swoich, z którymi pragnął omówić rzecz pewną. Myśl ta, nieznana ani panu generałowi, ani staroście domaskiemu tak go już była opanowała, że nie byłby od niej odstąpił za żadną cenę na świecie.

— Jeśli nie zgodzi się wrócić do mnie po dobrej woli, postanowił starosta opeski — porwę ją gwałtem.

I uczepiwszy się tego, wykonanie planu pragnął powierzyć wiernym druhom.



Popisy młodej pływaczki zbudziły szczere zainteresowanie i podziw wśród zgromadzonych koleżanek...

Przybyli oni na jego wezwanie natychmiast. Więc Glińscy dwaj, Wilczek i Ćwilichowski stary. Przyjął ich pan starosta z otwartymi ramionami i szczegółowo rzecz całą wyłuszczył.

— Na balu u marszałka — mówił — spotkać się mam ze Strutyńskim i jego córką, a moją żoną. Chcą nas godzić, właściwie, to książe kanclerz chce — ja pozornie godzę się na to, dałem nawet słowo, iż mu bezpieczeństwo zapewnię i proszę też waszmościów, aby warunek ten nie był złamany.

— Wola waszej miłości — zgodzili się przyjaciele.

— Dojdzie też tam pewnie do rozmów, chociaż wątpię, aby do porozumienia dojść mogło. Jakkolwiek atoli stanie się tam, chcę was prosić, mili przyjaciele, o przysługę...

— Rozrządzaj waszą miłość nami, jakoby sługami swoimi — zawołali druhowie.

— Słuchajcież tedy pilnie: jeśli do zgody nie dojdzie, a tego jestem pewien, dam wam znak, a wy, poczekawszy przy wyjściu, porwiecie córkę Strutyńskiego i nie czekając — gotowymi końmi, które czekać będą w umówionym miejscu, a wskaże wam je mój pachołek — pognacie do mnie do Opsy i tam czekać będziecie mojego przybycia. Gdyby Strutyński, lub ktokolwiek z jego ludzi podniósł gwałt, wystąpi wtedy książę pan, który do Wilna właśnie ma przybyć i zażąda pojmania Strutyńskiego, jako infamisa i wywołańca. Jeśli natomiast graf zachowa się spokojnie — wolny odejdzie.

— Wola waszej miłości — zgodzili się wszyscy.

— Waść, mości Ćwilichowski, jako najpoważniejszy wiekiem, obejmiesz komendę nad całością — mówił dalej pan Jan. — O jedno tylko waćpanów proszę, aby wszystko odbyło się gładko, bez hałasu i niepotrzebnego krwi rozlewu.

— A gdyby graf bronił córki? — zauważył Ćwilichowski.



Kwiaty i trawki osłabły od gorących promieni słonecznych, trzeba więc je podlać zimną wodą z basenu...

— Ogłuszyć go, związać i zostawić w karocy.

Na tym rozeszli się wszyscy do dnia balu u marszałka.

Jakoż nadszedł ów dzień tak oczekiwany przez obie strony. Strutyński z córką i komiltonami przybył był prawie równocześnie z panami Ciechanowieckimi do Wilna, ale osobiście nie pokazywał się na oczy wrogom ani on sam, ani madame Hedwige, nie będąc pewnym zapewnionego sobie bezpieczeństwa.

Lecz w dniu balu zajechał graf szumnie przed dom marszałka i wespół z córką znikli wewnątrz pakownego i obszernego mieszkania Łopacińskiego. A już też na sali balowej zgromadzili się byli wszyscy niemal co głośniejsi przedstawiciele frakcji radziwiłłowskiej. Nierównie licznie przybyła i frakcja Familii. A że zawarte zawieszenie działań wojennych kazało gniewy, dąsy i szable pochować, na sali balowej panowała zgoda, jeśli nie szczera, to w każdym razie pozorna, bez fukania na siebie i trzaskania w szable. Ani książę Panie Kochanku, ani książę kanclerz Czartoryski, chociaż obaj bawili w Wilnie, na bal ów nie przybyli.

Do programu owego zjazdu na sali balowej miały wejść również bezpośrednie rozmowy stron zainteresowanych. Pan starosta opeski, który w smutnym nastroju czekał na sali balowej na chwilę ukazania się umiłowanej niewiernej, mając niejasną nadzieję, iż może w dniu dzisiejszym zakończą się długotrwałe waśnie, ucichnie wojna domowa i gołąb pokoju swobodnie rozpostrze skrzydła do lotu — wpatrywał się nieustannie w drzwi, ale przez nie długo nie wchodziła ani urocza madame Hedwige, ani jej rodzic.

Więc krążył znowu po tej sali, pełnej rozbawionych ludzi, do chmury gradowej podobny, i nie brał żadnego udziału w zabawie. Nie dla niej on tu bowiem przyszedł. Jednej tylko osoby tu czekał, ją jedną pragnął widzieć i był przygotowany na to, iż gdyby zaszła potrzeba, dumęby swoją poświęcił, ambicjęby poświęcił, byle oną niewierną napowrót zdobyć i przy sobie zatrzymać. Był gotów przebaczyć jej wszystko, o cofnięcie wyroku na grafa się postarać, do czci go przywrócić, byle ona tylko, ona, nad wszystko w świecie umiłowana Hedwige — do niego powrócić chciała.

Ale piękna Hedwige długo nie pokazywała się na sali balowej i pan Jan długo krążył, jak lew uwięziony w klatce.

A tymczasem w prywatnej komnacie pana marszałka, w oddalonej części domu, zgromadzili się przyjaciele Strutyńskich dokoła grafa i madame Hedwige, słuchając rad starego marszałka jak mają postąpić i jak się mają zachować.

— O ile ichmościowie pragniecie naprawdę pokoju i zgody — perswadował pan marszałek — należy z Ciechanowieckimi podjąć bezpośrednie rozmowy, do których tamta strona, o ile wiem — jest skora. Dość już tych waśni, dość krwi rozlewu. Czasy idą niespokojne, nawet groźne, w których niezgoda przyczynia się tylko do rozrywania jedności i spójni narodowej.

— Jam waśni nie wszczynał — odrzekł ponuro Strutyński. — Czyniłem wszystko, aby między obu frakcjami mir postanowić, córę własną na zakładniczkę tego pokoju dałem.

— Nie czas, mości grafie, na wypominki — przerwał surowo marszałek. — Przeszłość minęła i nie wróci. Trzeba nam z żywymi naprzód iść, bo umarli nie wstaną.

— Zaliż pokrzywdzony pierwszy do zgody rękę ma wyciągać do krzywdziciela? — spytała śliczna pani Jadwiga.

— Dziś tu nie ma pokrzywdzonych ani krzywdzicieli. Obie strony na równych prawach stają, a skoroście waćpaństwo mnie mediatorem swoim ustanowili, przeto z mocy mego urzędu pytam: wojna lub pokój?

— Już niechaj będzie raczej wojna — wojna na śmierć i życie! — rzuciła groźnie wyzwanie piękna pani Jadwiga.

Strutyński milczał, targając wąsa, komiltoni wyprężyli się groźnie i mimo woli ręce położyli na szablach i szpadach. Marszałek powstał. Raz jeszcze spróbował pośrednictwa.

— Rozważcie to dobrze waćpaństwo — odezwał się znowu. — Zostawiam wam pół godziny czasu do namysłu i naradzenia się. Sprawa jest niezmiernie ważna dla obu stron, ale dla pana, mości grafie, ważniejszą, niż dla panów białoruskich.

Marszałek odszedł, zostawiając familiantów samych. Chwilę trwało między nimi milczenie, bo nikt pierwszy nie chciał decydować swoim słowem o wojnie lub pokoju. Inicjatywę ujęła w swoje ręce piękna pani.

— Nie masz pokoju! — rzekła twardo. — Nie myśmy wszczynali owe waśnie i niepokoje, nie nam przeto występować pierwszym z gałązką oliwną. Wywołali panowie białoruscy wojnę — niechże ją mają. Żadnych paktowań, żadnych rozmów, waćpanowie!

— Tak, nie może być pokoju, dopóki szanse obu stron nie równe — podtrzymał córkę graf Strutyński, który zdołał już otrząsnąć się z zamyślenia i znowu przybrał tak zwykłą u niego minę ironiczną. — Chociaż panowie białoruscy infamisa ze mnie zrobili, chociaż postarali się o ów wyrok trybunału wileńskiego o pomstę do nieba wołający — przecież nie ugnę się przed nimi. Oni chcą pokoju — dobrze, niechże go sobie pragną, ale ja pierwszy ręki do zgody nie wyciągnę.

— Wojna, waćpanowie! — zawołała znowu madame Hedwige — wojna aż do zwycięstwa. Nie wolno nam myśleć o pokoju, nie wolno nam zaprzestać walki, dopóki chociaż jeden Ciechanowiecki po tej ziemi stąpa.

— Zatem — wojna! — wyrzekli komiltoni.

— Aby im zaś okazać, iż mimo zerwania pokoju, nie lękamy ich się — podjęła znowu pani Jadwiga — pójdziem na salę balową, aby im to zaświadczyć naszą tam obecnością.

Tak zatem, mozolnie zadzierzgnięta nić pokoju, rwała się znowu. Pan marszałek Łopaciński szczerze był zmartwiony takim stanem rzeczy, ale mając słowo starosty opeskiego, nie niepokoił się wielce, iżby na balu w jego domu do rąbaniny przyjść miało.

Tymczasem pan Jan Ciechanowiecki krążył po sali balowej, blady jak trup, wypatrując, kiedy nareszcie ukaże się pani Jadwiga. Zbliżył się do niego brat Michał, starosta domaski i rzekł:

— Jakoś nie śpieszno twojemu teściowi do rozmów. Snać pogardził różdżką oliwną, którą mu posłałeś.

— Może nie masz go tu jeszcze?

— Przeciwnie, dawno już przybył. Albo więc rozmawiać nie chce z nami, albo schórzył.

Pan Jan doznał bolesnego ukłucia w serce. On ani na chwilę nie mógł i nie chciał przypuścić, aby miał nie zobaczyć Jadwigi i, jeśli nawet nie rozmawiać z nią, to choćby jeno popatrzeć.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

ADAM NASIELSKI.

6)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

— No...!

Teraz bladość twarzy sekretarza zamordowanego była już zupełnie wyraźna i nie ustąpiła tak szybko. Przez chwilę zawahał się i wreszcie samorzutnie opuścił wzniesione ręce, rozejrzał się tak, jakby szukał oparcia i rzeczywiście podszedł do kominka. Oparł się o ramę jedną ręką, a drugą zasłonił czoło i pochylił głowę, tak że wyraz oczu stał się niewidoczny. Trzy minuty minęły w zupełnym bezruchu i absolutnej ciszy.

Detektyw nie odezwał się i palcami nakazał aspirantowi, aby nie zakłócił spokoju. Moment psychologiczny. Jeszcze walczy w oskarżonym zwierzęcy instynkt samozachowawczy, może poczucie racji jego czynu, strach i brawura. Za sekundę te czynniki ustąpią we mgle zdenerwowania pod presją brutalnego realizmu chwili i — załamie się. Może łzy, nieco prawdziwe i trochę przewrażliwione, samobiczujące i proszące o litość. Może atak szału..

Inspektor zbliżył się nieznacznie do drzwi, zasłonił je i stanął czujny, ostrożny, gotów w każdej chwili do fizycznej i psychicznej interwencji. Ale milczał — zbyt doświadczonym był policjantem, aby przerwać ciszę w takim momencie. Bo sądy wymagają przyznania się lub dowodu — i mają rację. Konfesja jest swego rodzaju zgodą na karę.

Jakież więc ogromne było zdumienie obu oficerów, kiedy po odjęciu ręki ujrzeli twarz spokojną, opanowaną, niezasmuconą, a raczej jeszcze bardziej ze stalowym błyskiem w oczach. A głos był chłodny, niesamowicie zrównoważony, lekko stężały:

— Pan jest w porządku — Makarski zwracał się wyraźnie do inspektora. — To jest więcej niż przykra historia. Ciężko mi będzie udowodnić, że ja nie zabiłem. Rozważyłem sobie wszystko i przyznaję, że według wszelkich prawideł logiki — ja musiałem zabić. Niema tu ani powieściowych ukrytych drzwi, okna są okratowane trup jest naprawdę martwy i w mojej kieszeni policja znajduje klucz do zamkniętego pokoju. Wszystko się zazębia, całość trzyma się twardo. Ale ja nie zabiłem. Nawet nie we śnie lunatycznym. Więc jak?

Zapytał raczej siebie. Bernard Żbik zbliżył się doń i przysunął mu krzesło. Przemówił jak ojciec do syna, jak nauczyciel wychowawca do krnąbrnego ucznia.

— Sam pan przyznaje, że logicznie musiał pan zabić. Poco więc mamy przyjmować absurdalne hipotezy. Na co opierać się na iluzjach. Jerzy Makarski zabił, nie zdążył uciec i przyjął te taktykę obrony. To nawet nie pan — to instynkt samozachowawczy Jerzego Makarskiego.

Wymierzony podniósł głowę ruchem szubkim i gwałtownym, tak że detektyw mimo woli cofnął się o krok. Ujrzał znów ten szeroki, pełny uśmiech, jak wówczas na balu — pierwszy raz.

— Niech się pan nie boi, inspektorze. Nie wpadnę w atak wariacji. Logika, więzienie i koniec, prawda? No, tak...

Westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni, w której aspirant znalazł klucz.

— Ja nie włożyłem tego klucza do tej kieszeni. Nigdy nie miałem w ręku tego przeklętego kawałka żelaza. Jakże więc... — przerwał znów i tym razem objaśnił nerwowo. — Co ja plotę, przecież pan mi nie wierzy. Nikt mi nie wierzy.

Bernard Żbik obserwował go raczej niż słuchał jego słów. Z doświadczenia wiedział, że oskarżeni, którym udowodniono winę wygadują w takich sytuacjach mnóstwo głupstw, pozują na męczenników, zamieniają się błyskawicznie w anarchistów. Dziwne, że ten człowiek jeszcze nie zaczął usprawiedliwiać swego czynu. Że nie nazwał Stokowskiego potworem i...

— Czy mam zaprotokułować, że pan przyznaje się do winy, że w dniu dzisiejszym zabił pan Erazma Stokowskiego posługując się w tym celu sztyletem, jaki...

Makarski aż poderwał się na to pytanie. Inspektor był pewny, że teraz nastąpi wybuch — lecz nastąpiło coś innego. Za plecami detektywów, od strony drzwi, rozległ się cichy, przejmujący okrzyk i głos. Pięknie modulowany głos niewieści.

— Jurku! Więc jednak spełniłeś swe idiotyczne groźby. Och, ty głupi, nieszczęsny człowieku. I ty — biedny o j c z e...

Resztę stłumiło wstrząsające łkanie. Makarski, nie pytając o pozwolenie, podbiegł do kobiety, która na widok zbliżającego sie osunęła się bezwładnie... w jego ramiona. Zemdlała.

VIII.

Odciski palców

Zegar na kominku, piękny antyk, wybił szósta. Spokojnie, bezdusznie, jakby drwiąco. Od dołu, z ulicy, dobiegały krzyki roznosicieli gazet. Nocne wydaa... Ostatnie ciągnienie loterii... Naturalnie, — jednego bankiera mniej, jedna sprawa sądowa więcej, tragedia rodzinna, zrujnowane ambicje, wszystko, wszystko stracone, to o co się walczyło, dla czego się cierpiało, kombinowało, uśmiechało i zgrzytało zębami — jedno życie przestało być, co to znaczy wobec tempa bytu w 1936 roku. Tam, gdzieś, ktoś, dziś, wygrał milion, lub ćwierć, czy pół miliona. Jutro przeczyta w gazecie o zabójstwie znanego bankiera. No to co... Wygrał milion. Pies tego mordercę trącał. Dobrze mu tak, poco zabijał.

A tu — w gabinecie, w banku — smutno, i cicho i jakoś głupio, bezdennie pusto. Na co, to wszystko...

Umieścili elegancką kobiete na fotelu. Bernard Żbik stwierdził, że była więcej niż piękna. Była czarująca. Jedno z tych stworzeń, które są w stanie rozpalić mózg aż do eksplozji dramatu. Optyka, czy fluid, czy autosugestia — mniejsza o to, fakt, że tak się dzieje. Miłość...?

Rzeczywistość: wprawdzie nogi ma nieco za grube, ale cała postać, twarz, oczy, usta — anatomia czy psychopatalogia? W każdym razie pan Jerzy Makarski, osobnik obwiniony o straszliwa zbrodnię zabójstwa — wyglądał w tej chwitak, jakby zapomniał o wszystkiem. I tylko patrzał z uwielbieniem. Co tam oskarżenie — czytałeś w jego oczach — trup, tragedia. To wszystko zatarło się wobec wrażenia kobiety, na którą patrzał.

Gra? Genialny aktor — zbrodniarz. Czy człowiek śmiertelnie zakochany? Jakże często te dwa stany są identyczne. „Jurku! Więc jednak spełniłeś swe idiotyczne groźby... Ojcze“. Córka zamordowanego! I jednocześnie prokurator życia Bo nie trzeba było wyraźniejszego oskarżenia. Czego przedtem brakowało do ogniw łańcucha — motywu. Jest już motyw. Groźby, klucz, czas, absolutnie zamknięty teren. To wszystko musi się związać w węzeł szubienicy. Morderstwo z pre-

medytacją. I już mamy przyczynę. Reszta, to będą drobiazgi i niezbędne formalności. Potrwają one krótko. Tu nawet niema co badać. Wszystko jasne, jak na dłoni. Robota dla maszynistki. Do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie. Sprawa Jerzego Makarskiego oskarżonego o zbrodnię zabójstwa z art. 225 § 1 K. K.

Przykro będzie męczyć tę piękną damę — ale to jest konieczne. O, już otworzyła oczy i spogląda tak, jakby dopiero przyszła. Nie wierzy własnym zmysłom. Może się omyliła... To przecież niemożliwe. Linie wzroku mężczyzny i kobiety zetknęły się. Nieme, błagalne spojrzenie z jej strony i zupełnie zrozumiała odpowiedź:

— Janeczko! Ja tego nie zrobiłem. Ja nie zabiłem. Ja znajdę prawdziwego mordercę.

To mocne „ja". Niezwykły gracz. Charakter! Cóż z tego. Chwila zapomnienia, jakiś zdegenerowany zwój nerwowy, idiosynkratyczne urojenie, brak namysłu, słaba odporność — i trup. Teraz na pewno żałuje, chciałby odwołać stan faktyczny. Niestety, restitutis in integrum jest tu niemożliwością. Twarda, nieubłagana machina sprawiedliwości uchwyci w swe stalowe tryby ten charakter, wymiętosi go, stłumi, zdusi, zabije i... Tak musi być. Nie zabijaj!

Janina Stokowska spojrzała na Jerzego Makarskiego.

— Ty mi wierzysz, Janko.

— Ja ci wierzę.

Niewdzięczny jest zawód detektywa. Idylla, sielanka, nawet tu...

— Proszę narazie wyprowadzić tą panią, aspirancie. Zostawisz ją pod opieką, rozumiesz.

Poszła posłusznie, bez oporu, jak pod hypnozą. Nawet nie spojrzała na trupa swego ojca. Uderzyło ją mocno. Cios. Głupie, bezduszne idiotyczne życie ludzkie, zdarzenia... Po co, dlaczego, czy bez tego nie można żyć.

— Panie Makarski — i czyż to było potrzebne — zabić.

Chyba jednak wariat — bo uśmiecha się. Najwyraźniej. Białe drobne żeby i rozkurcz śmiechu. I oczy się cieszą. Oszalał.

— Przeprosicie mnie jeszcze za to posądzenie. Nie zabiłem i nie cofnę tego twierdzenia. Jestem niewinny.

Chwila przerwy. Uśmiech znikł, a na jego miejsce zjawił się ten twardy, jeszcze twardszy — płomień w oczach. Zawzięty, lekko wysunięty podbródek. Maska?

— Lecz wiem, że słowa — i to moje — nic tu nie znaczą. Jedynym sposobem ocalenia mnie jest znalezienie właściwego mordercy. Musi go pan wykryć, inspektorze. Niech mi pan pozwoli dopomóc sobie. Ja jestem zdolny w tym kierunku, mam pomysły, umiem patrzeć. Mogę się pochwalić sukcesami na polu amatorstwa kryminologii. Byłem kilkakrotnie wymieniany w pismach fachowych. Stokowskiego zabił ktoś i n n y (— więc można go wyszukać. To też jest logiczne.

Studiował kryminologię, amator-detektyw. Zboczenie zdolności? Degeneracja talentu w kierunku niesamowitego eksperymentu? Bardzo prawdopodobne.

— Wiem o czym pan myśli, inspektorze. Lecz ja nie zabiłem.

Znów to samo... Chyba jednak metoda. Koronkowa gra psychologiczna. Potem obrońca postawi wniosek o zbadanie stanu umysłowego. Jerzy Makarski, sprytny zbrodniarz, będzie symulował chorego psychicznie. Zawieszenie kary — umieszczenie w domu zdrowia. Wyzdrowienie Prośba do ministerstwa sprawiedliwości. Darowanie kary. Dobry plan. Mózg!

— Nie możemy uwzględnić takiej prośby. Czemu mam szukać. Zresztą, poco tu szukać. Jutro, pojutrze porzuci pan system i przyzna się do winy. Jeszcze kilka formalności. Mam nadzieję, że nie będzie pan stawiał oporu — to nic nie polepszy — i uda się ze mną do urzędu śledczego.

— Panie inspektorze, błagam pana! Proszę mnie wysłuchać. Tylko wysłuchać. Będę mówił spokojnie i logicznie, choć Bóg mi świadkiem (— Patos?...) że wszystko we mnie kipi i wre. Przecież pan jest mądry, zdolny kryminolog i psycholog...

— Do rzeczy!

— Racja. Panie inspektorze — gdybym ja zabił Erazma Stokowskiego, czy zachowałbym klucz w kieszeni. Czy mając go wreszcie przy sobie nie uciekłbym z tego pokoju...

— Nie! Pan nie mógł zdążyć. A potem było już zapóźno. To pan zabił.

— Zaraz — otarł pot z czoła i znów oparł się o poręcz fotelu. — Przypuśćmy, że nie mogłem zdążyć zbiec. Ale mogłem zdążyć wyrzucić ten klucz przez ten otwarty oberluft i nie zatrzymywać w kieszeni — aby grzebać się samemu żywcem.

— Teraz pan to mówi. Bezpośrednio po czynie, słysząc, że my nadbiegliśmy — stracił pan prowdopodobnie głowę i nie wiedział, co się wokoło dzieje. Uciekł więc pan do bocznego gabinetu i zastanowił się. Stało się — powiedział pan sobie — wpadłem. Muszę wie obmyśleć obronę i — obmyślił ją pan dość sprytnie. O kluczu zapomniał pan poprostu. W takich chwilach luki w funkcjonowaniu ośrodków pamięciowych są niemal nieodzowne. I gdzież tu są pańskie zapowiedziane argumenty logiczne.

W miarę jak detektyw pokolei obalał każdy punkt obrony, niczym prokurator przed kompletem sądzącym, młody człowiek miękł, topniał, coraz bardziej, tracił siły.

— Mam jeszcze jeden argument. Dlaczego miałbym zabijać, na Boga! Motyw?...

— O tem właśnie musimy pomówić. Słyszał pan pierwsze zdanie Janiny Stokowskiej, gdy tu weszła. Kiedy pan „idiotycznie groził" Stokowskiemu i dlaczego?

— W zeszłym tygodniu. Było to w głupim gniewie. Ja i Janka kochamy się i zaręczyliśmy się potajemnie. Janka powiedziała, że ojciec nigdy nie przystałby na nasze małżeństwo. Wówczas w gniewie, bez żadnej realnej myśli — powiedziałem, że zabiłbym człowieka, któryby nam stanął na drodze.

— Tak nie postępuje inteligentny i wykształcony człowiek.

— Każdy człowiek to zwierzę.

— Bardzo znamienne. Więc pan wtedy powiedział, że zabiłbyś ojca Janki.

— Nie miałem na myśli owego nieznanego konkurenta. Nawet nie wiem, kto to jest.

— Nie muszę temu wierzyć.

— Musi pan, bo to jest jedyny warunek zdobycia prawdy. Ktoś zabił Stokowskiego. Ktoś uczynił to dla ważnych przyczyn. Trzeba je poznać a wtedy będziemy mieli wszystkie nici w ręku.

— Już mamy — pana. Logika.. .

— Precz z logiką, która kłamie. Ja jeden znam fakt negatywny — bo ja tego nie uczyniłem. Pan musi mi uwierzyć. No, musi pan — bo zwariuję.

— Tylko bez histerii.

— Przepraszam. Już nie będę. Przed tym do znalezienia klucza — śmiałem się. Teraz jednak widzę, że komuś zależy na moim usunięciu. Musimy znaleźć człowieka, któremu zależy na jednoczesnym pozbyciu się mnie i Stokowskiego. Ta osoba równa się mordercy. Ta osoba włożyła mi klucz do kieszeni, gdy spałem. Ta osoba zakłuła Erazma Stokowskiego, i ta osoba

napewno sfabrykowała jeszcze inne ślady, które wskażą na mnie. Teraz już nie wątpię.

— Z pewnego punktu widzenia pański system obrony i obecna reasekuracja psychologiczna — są genialne, panie Makarski.

— Inspektorze, jestem doktorem psychiatrii i wiem, co mówię. Wiem napewno, że nie jestem szalony i wiem, że nie zabiłem. Jestem podekscytowany, ale to jest naturalne w takiej sytuacji. I wiem, że ktoś uwziął się na mnie.

— Skąd ta wszechwiedza. Wiem i wiem... Dlaczego uwziął. Po co mam wypaczać fakty i szukać urojeń i tracić czas bez powodu i gawędzić tu z panem na tematy akademickich dyskusyj. Pan się broni, ja to rozumiem, nawet prawo pozwala panu kłamać. Instynkt samozachowawczy i tyle. Nie, doktorze — szkoda tracić czas napróżno.

Ujrzał błysk desperacji w oczach oskarżonego i nie chciał przedwcześnie przeciągać struny.

— Zresztą, i tak muszę uczynić wszystko, aby wyświetlić całość wszechstronnie. Jeszcze nie zacząłem śledztwa. Może Stokowski nie umarł od pchnięcia sztyletem. Zaraz będzie tu lekarz. Potem przesłucham pana, pannę Stokowską, rodzinę, woźnego, zbadamy ewentualne ślady, poszukamy. Proszę tylko o spokój i powstrzymanie się od wybryków. Musi pan być silny i... przygotowany na najgorsze...

— Wobec tego, co uczyniłem — to chciał pan dopowiedzieć. Dobrze, będę silny. Mam tylko jedną prośbę. Chcę pomóc, szukać, nie jestem laikiem w tych sprawach.

— Absurd! Temu zadaniu muszę stanowczo odmówić. Procedura nie przewiduje udziału oskarżonego w dochodzeniu.

— Więc jednak jestem oskarżony!

— Bądźmy logiczni, doktorze. Cóż nam może zależeć oskarżyć niewinnego. Widzę pana dopiero po raz pierwszy w życiu i nie mogę mieć uprzedzeń. Dziwi mnie wprawdzie brak wzruszenia wobec faktu śmierci szefa, którego — przyjmijmy na chwilę tę tezę — nawet ktoś inny zabił, co jest jednak niemożliwe. Tłumaczę sobie jednak pański brak współczucia podnieceniem sytuacyjnym.

— Pan jest mądry, bardzo mądry, inspektorze. To jedyna moja nadzieja.

— Aspirant odprowadzi pana do jakiegoś pokoju, a ja tymczasem dokonam oględzin terenowych. Potem fotografia, oględziny lekarskie i przesłuchania. Jeżeli pan jest niewinny — może coś znajdziemy. Powtarzam — my nie mamy żadnego zainteresowania w fałszywym oskarżeniu.

— To prawda... — szepnął Makarski, jakby do siebie.

— Więc na razie spokój, zimna krew i — cierpliwości.

— Traktuje mnie pan jak dziecko.

— Zostawmy kurtuazję bezrobotnym. Właśnie nadchodzi aspirant.

Bernard Żbik odwrócił się.

— Kogo zostawiłeś z Janiną Stokowską.

— Kobylańskiego. Zastąpił go mundurowiec z komisariatu. Są już panowie z prasy.

— Niech zaczekają. Odprowadź jego — tu zniżył głos — do jakiegoś pokoju i przy nim któregoś z naszych chłopców. Wróć odrazu. Będzie pisanina.

Usiadł na tym samym fotelu, co Janina Stokowska i zamyślił się. Musiał przyznać, że niektóre punkty w zeznaniach Makarskiego były uchwytne. Poco miałby zatrzymać klucz. Mógł go istotnie wyrzucić nawet przez okratowane okno. I miał też czas na ucieczkę z gabinetu, jak sam wspomniał. Przecież on nie wiedział, że w halu zastanie czuwającego. Mógł spróbować ukryć się w którymś z pokoi banku. Znał gmach i mógł się ukryć. Mógł, mógł, mógł — ale zastano go w pokoju zbrodni, w zamkniętym pokoju. Znaleziono klucz w jego kieszeni. To są fakty, których sędzia śledczy nie może pominąć. System obrony — to tylko system. A te bywają różne. Inteligentny człowiek broni się inteligentnie. Głupiec wykręca się bezmyślnie. Histeryk szaleje i demoluje przedmioty. Cynik drwi z błyszczącymi oczyma. Pozostała do wyjaśnienia sprawa figurki Ozyrysa, właściwej przyczyny zbrodni — to co się okazało jest zbyt błahe. Owa groźba wypowiedziana rzekomo w gniewie, musiał mieć głębsze podstawy. No i tej noweli opowiedzianej przez Stokowskiego. Te wszystkie punkty trzeba powiązać, skojarzyć.

W ogóle w tej sprawie jest za dużo „może" i za dużo „musi". Ale poco się martwić. Morderca jest, dowody też, nie trzeba macać dusz i grzebać się w psychopatologii. W każdym razie — coś...

— Serwus! Gdzie umarlak?

Detektyw spojrzał z powagą na lekarza policyjnego, lecz dr. Dalczewski nie zrażał się łatwo.

— Był już fotograf?

— Zaraz nadejdzie.

— Więc po co mnie było tak gnać? Nie zdążyłem zjeść obiadu. Kto?... — wskazał na trupa.

— Dyrektor banku.

— Erazm Stokowski?

— Ten sam.

— Sztyletem w pierś. Brudna robota. To wszystko pod wpływem literatury brukowej. Romantyzm nawet w kryminalistyce. Nie mógł go zastrzelić?

Bernard Żbik uśmiechnął się.

— Mógł nie mieć rewolweru. Poza tym nóż działa cicho.

— Co to za znak na trzonie?

— Ostrożnie, bo mi pan zetrze ślady.

— Których nie ma.

— Jakiś bożek egipski.

— Ozyrys.

— Pan się na wszystkim zna.

— Spodziewałem się właściwie nastąpienia tej zbrodni.

— Nie udawać geniusza, Żbiku. Przyjdzie wreszcie ten fotograf, czy nie!? No, nareszcie...

Urzędowy specjalista zmierzył pozycje fachowem spojrzeniem, ustawił aparat na trójnogu, błysk magnezji i gotów po pięciu minutach.

— Na kiedy odbitki, naczelniku?

— Jak najprędzej.

— Jak zwykle u pana inspektora. Tempo! Dowidzenia. Bierz statyw, Józiek, i nie gap się, ofermo.

— Cześć. Teraz pan, Watsonie.

Lekarz nie dał sobie dwa razy powtórzyć. Zawsze się spieszył. Zakasał rękawy, rozciął brzytwą pierwszorzędnie skrojona marynarkę, nacisnął kilkakrotnie naskórek na plecach i wreszcie wyjął nóż przez jedwabną chustkę. Był to krótki, nieco zakrzywiony sztylet. Dr. Dalczewski obejrzał go pod światło.

— Pełny skrzep. Najpewniej szybka i bezbolesna śmierć.

— No, niebardzo szybka, skoro zdążył wezwać pomoc przez telefon.

— Jak to?

Wysłuchał opowiadania detektywa o okolicznościach zbrodni, mruknął — zastanawiające — i bezceremonialnie odwrócił nieboszczyka na plecy.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 6 czerwca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Wrześni: nabożeństwo i reportaż p. t. „Lud ziemi wrzesińskiej" 11.00 Tańce z operetek — płyty 12.03 Poranek w muzyce (z Poznania) 13.10 Koncert rozrywkowy (z Wilna.) 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Muzyka ludowa 16.55 „Chopin u Radziwiłła" — słuchowisko 17.30 Międzynarodowe zawody hippiczne: Nagroda Polski. „Puchar Narodów" 18.00 Pół czarnej przy mikrofonie (ze Lwowa) 20.00 Melodie Offenbacha — płyty 21.00 „Kukułka dla samobójców" (z Wilna) 21.30 Transmisja z Krakowa fragmentu meczu piłkarskiego 22.00 Wolfgang Amadeusz Mozart — wyjątki z oper.

Poniedziałek, dnia 7 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Na nutę wojskową — płyty 16.00 „Mój Żoko" (przygody małpki) — pogadanka 16.15 Zespół mandolinistów „Kaskada" (z Wilna) 16.45 „500 lat polskiej gościnności" — felieton 17.00 Pieśni studenckie — audycja chóralna 17.20 Antoni Areński: Trio d-moll 17.50 „Mikołajek nadmorski" — pog. 18.15 Rewellersi w repertuarze popularnym — płyty 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Transmisja z otwarcia Zjazdu Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego 20.00 Koncert muzyki lekkiej 22.10 Koncert solistów.

Wtorek, dnia 8 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Koncert Orkiestry Dętej 16.25 W. Lutosławski Sonata b-moll w wyk. kompozytora 16.50 „Dwa miliony metrów" — pogadanka 18.15 Utwory Józefa Becce — płyty 19.00 Koncert życzeń — skecz 19.15 Poleskie pieśni regionalne 19.35 „Jak Centralne Archiwum Fonograficzne stara się ratować pieśń ludową" 20.00 Z oper Stanisława Moniuszki 21.40 „Jazda z Ziurdanką" — humoreska 21.55 Muzyka taneczna — płyty.

Środa, dnia 9 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej 16.00 „Gawęda o rodzinie poetów" 16.15 Koncert rozrywkowy 16.45 „Rokitna" — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Nowoczesna książka" — pogadanka 18.15 Lekkie piosenki włoskie (płyty) 19.00 „Płyty dla znawców" 20.00 Koncert muzyki lekkiej 21.00 Koncert chopinowski 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 10 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.15 „Wypadek przy pracy" — felieton 12.25 Milica Korjus i Charles Kullmann śpiewają — płyty 16.00 Podróże międzyplanetarne — pogadanka 16.15 „Przyroda w pieśni i w muzyce" 17.00 Zespół salonowy Stefana Rachonia 18.15 Koncert zespołu „Ligh Opera Company" — płyty 19.00 „Samarytanin z pod Solferino" — słuchowisko 22.00 Koncert symfoniczny 22.00 „Kalejdoskop" — audycja muzyczna.

Piątek, dnia 11 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Koncert w wyk. Orkiestry Policji Pańtw. 16.15 Jan Brahms: Pieśni cygańskie 16.45 „Nafta, nafta..." — reportaż 17.00 Potpourri operetkowe 17.50 „Nasze drzewa: Limba" — pogadanka 18.15 Muzyka lekka — płyty 19.00 Koncert solistów 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „Śląsk w poezji współczesnej" — kwadrans poetycki 22.00 Ludwik van Beethoven (nowe nagrania płytowe).

Sobota, dnia 12 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Łódzka orkiestra salonowa 16.00 „I my też urządzamy koncert" — audycja słowno-muzyczna 16.30 Ballady i legendy — w wyk. Ork. A. Hermana 17.20 Recital śpiewaczy Gabriel Philip de Rocha 17.50 „Osobliwości ziemi zapomnianej przez turystów" 18.15 Chór Dana i Orkiestra Eugen Wolffa — płyty 19.00 „Kawalerowie pięknej Idalki" — wesoła audycja 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą.

HUMOR

I JEJ SIĘ NIE PODOBAJĄ

— Moja Marysiu, żałuję bardzo, ale nie będę cię mogła wziąć do służby; te świadectwa, które mi przedstawiłaś wcale mi się nie podobają.

— I mnie także, proszę pani, ale mi lepszych dać nie chcieli.

JESZCZE LEPIEJ

— Czy pani wie, pani Migdalska, że ta kura, com ją tydzień temu kupiła, to takie wielkie jajka znosi, że sześć jaj ważyło kilo?

— Moja pani Sałacińska, cóż to takiego wielkiego, moja kura jeszcze lepiej potrafi, takich, jakie ona znosi starczy trzy na mendel!

TEŻ PAMIĄTKA

— Pożycz mi dwadzieścia złotych.

— Masz taki ładny pierścionek, zastaw go sobie w lombardzie, będziesz miał pieniądze.

— Kiedy to pamiątka po matce, nie mogę.

— Moje pieniądze są pamiątką po ojcu, nie mogę ich również oddać.

W BIBLIOTECE

— Daj mi jakąś dobrą książkę dla mego brata. Ale to jest smakosz.

— To weź dla niego książkę kucharską.

GOŚĆ Z PROWINCJI

Matolski przyjechał z głębokiej prowincji do większego miasta, gdzie udał się wieczorem do lokalu.

— No, jak tam było? — pytają go nazajutrz koledzy.

Matolski jest rozpromieniony.

— Cudownie, wspaniale! Byłem w restauracji, gdzie grała orkiestra cygańska — wszyscy na sali śpiewali, tańczyli, a potem jeden z muzykantów podszedł z talerzykiem, na którym leżały pieniądze, wziąłem więc sobie dwa złote.

TYLKO SIĘ PYTAŁA

— Powiedz mi, co to u was była za awantura?

— Ależ nic podobnego, drobnostka! To tylko żona się pytała, gdzie tak długo byłem.

WYJAŚNIŁ MU

Dwaj panowie sprzeczają się o wartość pewnego poematu. Jeden z nich, który jest poetą wytacza taki argument:

— Co ty możesz wiedzieć o poematach, nie napisałeś nigdy bodaj jednego wierszyka.

— Ba — odpowiada drugi — to prawda, ale nie daję również mleka, a znam się na maśle z pewnością lepiej niż krowa.

ZROZUMIAŁA PO SWOJEMU

Żona: — I cóż powiedział ci doktór, jaką przepisał kurację?

Mąż: — Polecił mi przeprowadzić kurację górską.

Żona: — Ach, to wyśmienicie, pobiegnij zaraz na górę i wytrzep wszystkie materace.

NASZE SŁUŻĄCE

— Więc Marianna twierdzi, że nie mogłaby napisać na tym zakurzonym stole swojego imienia?

— Nie mogłabym, proszę pani, bo ja nie umiem pisać.

MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI

— Słyszałaś, że Frania ogłuchła?

— Cóż dziwnego, nosiła stale takie krzyczące kolory.

MIĘDZY DZIEĆMI

Mała Rózia chwali się przed koleżanką:

— Moją mamusię namalował wielki malarz.

Na to odpowiada Lilka:

— Mojej mamusi to niepotrzebne, sama umie się malować.







„Zaiste godna podziwu wytrwałość..."

PREDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, względ. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie